№ 16 WARSZAWA d. 6 (18) Kwietnia ROKU 1874



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

JEDYNE UCZUCIE.

Powiedźcie mi szczerze czy cierpieć dziś warto?
Czy warto mieć serce ofiarne,
Gdy z liści już wszystkich kwiat życia odarto,
Gdy wszystko do koła tak marne?

Czy warto mieć jeszcze choć jedną łzę w oku,
I sobie samemu być sępem.
Gdy łza ta utonie w tym mętnym potoku,
Co giełda nazwała postępem?

Czy warto mieć jakie ku temu współczucie,
Co z własnej usycha miłości,
Co nawet w konania śmiertelnym podrzucie,
Nie widzi swej własnej nicości?

O! żal mi jedynie przeszłości mej świętej,
I wstyd mi, że żyję w tej dobie,
I radbym już spocząć w mogile wyklętej,
By łatwiej znieść orgię na grobie.

Bo orgia dziś wielka postępu czeladzi,
A czyny w sobkostwie zakute,
Lecz wiek nasz Bóg z nieba, tak w próżnię wysadzi,
Jak wziętą wśród walki redutę.

Jedyne uczucie dziś w piersi się rodzi,
Gdy pancerz je ściska zbyt twardy,
Z przebitej boleści swą nazwę wywodzi,
A zwie się litością pogardy.

Tak—litość ślepemu, bo wzrok swój przechwala,
Słabemu, bo chełpi się siłą,
I twórcy, bo gruzy na gruzy obala,
I żywym gardzącym mogiłą.

Tak—litość fałszerzom i myśli i słowa,
Co błądzą bez celu wśród drogi,
I bluźnią zuchwale gdy milczy Jehowa,
A byli nicestwem w dniu trwogi.

Laskarys.

O różnych metodach nauczania.

(Dalszy ciąg).

Jacotot znakomity profesor urodził się w Dijon w roku 1770.

Był pomocnikiem Dyrektora szkoły centralnej, noszącej dzisiaj miano politechnicznej. W czasie powrotu Napoleona z Wyspy Elby był deputowanym z Dijon. W roku 1815 osiadł w Belgii, gdzie po raz pierwszy i w sposób bardzo szczęśliwy wprowadził w wykonanie metodę przez siebie ułożoną. Umarł w roku 1840, mając lat 70.

Wedle zasady ułożonej przez Jacotot'a wszystkie rozumy są jednakowej potęgi; każdy człowiek otrzymał od Opatrzności środek samoistnego wykształcenia się; nareszcie że wszystko można znaleźć we wszystkiem.

Te trzy zdania określone w kilku wyrazach są podstawą jego metody odmiennej zupełnie od wszystkich innych.

Przez pierwsze określenie, że wszystkie rozumy są jednakowej potęgi, prawdopodobnie Jacotot pojmował, że gdyby wszyscy ludzie obdarzeni byli równą siłą woli do nauki, to przy jednostajnym kierunku zebraliby wiadomości w równym stopniu.

Można powiedzieć wiele w obronie tej zasady, ale jeszcze więcej przeciw ogólnemu jej zastosowaniu.

Zaiste stopień naszego wykształcenia, zależy od warunków w jakich odebraliśmy pierwiastkową naukę, i od okoliczności wpośród jakich przepędziliśmy naszą młodość. Dziecko urodzone w wielkiem mieście, przez sam widok różnorodnych przedmiotów ma umysłowość więcej rozwiniętą i zdolną do większego rozwoju, od dziecka równego wieku, które cały swój żywot spędziło w nędznej lepiance, zdala od ruchu ucywilizowanego świata.

Wyprowadzać jednak z tego, że rozumy wykształcone w jednostajnych warunkach są równej potęgi, niepodobna, i im więcej podobna zasada jest uogólnianą, tem bardziej uwydatnia się jej nieprawdopodobność.

Druga zasada, że każdy człowiek otrzymał środki do samoistnego wykształcenia się nie potrzebuje objaśnienia. Wedle Jacotot'a nauczyciel powinien być jedynie dozorującym, co najwięcej przewodnikiem, odmawiał mu więc niejako prawa nauczania, i nie uważał aby nauka była dla niego nieodzowną.

Nie potrzebujemy rozszerzać się zbytnio nad przesadą podobnego zdania. Nauczyciel nie powinien tłomaczyć wszystkiego, ale powinien zostawić coś domysłowi uczni, błędnem jednak jest twierdzenie, że wszelkie tłomaczenie uczniom jest nieużyteczne.

Trzecie nareszcie zdanie, że wszystko jest we wszystkiem objaśnione jest w ten sposób, że skoro dzięki naszemu umysłowi i pamięci, dojdziemy do posiadania jakiej części nauki, w takim razie dalszy ciąg jest logicznem następstwem powziętej wiadomości. Wedle niego kto umie czytać pierwszą kartkę przeczyta całą książkę; może dojść do pojęcia całej matematyki umiejąc jedynie pierwsze cztery działania; zagrać wszystkie utwory muzyczne, jeżeli mu są znane niektóre z nich.

Gdyby to była prawda, w takim razie ludzkość byłaby godną pożałowania, że nie pojęła Jacotota, ale że pozwoliła zamrzeć dziełu wraz z jego autorem, skazując młodzież na długą i ciężką pracę w najpiękniejszej porze życia.

Poznawszy zasady przejdźmy do ich zastosowania.

Metoda Jacotot'a jest analityczna, wtenczas kiedy inne metody przechodzą od szczegółów do ogółu, on od całości przechodzi do cząstek takową składających.

Nauki czytania nie rozpoczyna od liter, przechodząc następnie do syllab, wyrazów i zdań. W tym celu bierze pierwszą lepszą książkę naprzykład Telemaka;

nauczyciel czyta pierwszą kartkę póty, póki uczniowie nie nauczą się jej na pamięć; skoro to nastąpi później rozróżniane są na książce zdania i wyrazy. Dopiero wtenczas, skoro uczeń umie wskazać palcem każdy wyraz wymówiony, pokazywane mu są cząstki składowe takowego, czyli litery.

Przy nauczaniu języka cudzoziemskiego, ta sama metoda jest zachowywaną. Trzeba się nauczyć jedną dwie, pięćdziesiąt, dwadzieścia kart....całą książkę na pamięć, a później odnosić do niej wyrazy, zdania i okresy znalezione w innej książce.

Co do rysunku Jacotot zapewnia, że wszystko jest we wszystkiem, że zatem przyroda jest w sztuce, i że wszystkie warunki konieczne do dobrego naśladowania znajdują się w naszych głowach. Zwykli nauczyciele rozpoczynają od najdrobniejszych szczegółów, zalecając je przenosić na papier, poczynając od rzeczy łatwych a idąc do coraz trudniejszych: Jacotot przeciwnie, każe rysować całość dopóty, dopóki dzieło nie będzie zrozumianem należycie i wykonanem dokładnie. Powodzenie w tej mierze wedle niego jest niezawodnem, ponieważ zdolności ludzkie są jednakowej potęgi.

W kierunku matematycznym radzi, rozpocząć pracę od nauczenia się na pamięć kilkunastu określeń wraz z dowodzeniami dotyczącymi rozmaitych gałęzi nauki, a później idąc od wniosku do wniosku można przyjść do pojęcia całej umiejętności.

Metoda przeto Jacotot'a jest najzupełniej przeciwną metodom, wytworzonym przez innych nauczycieli. Nazywa on ją jednak metodą naturalną dla tej przyczyny, że dziecko pozostawionem jest niejako samemu sobie.

Prawdopodobnie sądzi on, że jego metoda oparta jest na tych samych podstawach, wedle jakich matka uczy dzieci języka macierzystego i daje im pierwsze wyobrażenie o różnorodnych przedmiotach. Matka jednak spełnia bezwiednie niejako obowiązek nauczycielki. Dziecko słyszy jej mowę, spostrzega jej zajęcie, znak objaśnia myśl, przedmiot uzupełniają tłomaczenia, a później dziecię naśladuje ruchy i wyrazy, a powodowane właściwą sobie zmyślnością, przywiązuje do nich znaczenie takie, jakie im nadaje matka. Postęp dokonywanym jest codziennie bez najmniejszego zmęczenia ucznia i bez żadnej straty czasu dla matki.

Czyż metoda Jacotot'a opartą jest na tych samych podstawach? Tak, dla pewnych względów; nie, dla innych.

Nie jest to metoda naturalna, ponieważ zastosowanie jej nie odpowiada założeniu. Wedle założenia uczeń ma się kształcić samoistnie a nauczyciel ma być tylko przewodnikiem, tymczasem w zastosowaniu obecność jego jest zbyt widoczna, ponieważ uczeń zniewolonym jest do ciągłego powtarzania lekcyi. Pomimo tego jednak metoda Jacotot'a jest najwięcej zbliżoną do macierzystej, ponieważ ona tylko jedna opartą jest na systemacie analitycznym, gdy tymczasem wszystkie inne są syntetyczne.

W długim naszym zawodzie nauczycielskim, użyliśmy raz z powodzeniem metody Jacotot'a i nauczyliśmy czytać pewnego chłopczyka, dla umysłu którego wszystkie inne metody okazały się niedostatecznemi. Może więc ona być użytą w nauczaniu domowem, ale nie można jej zastosować do szkół początkowych, gdzie jest wielu uczni zgromadzonych razem. Dwóch innych uczni, działając w podobny sposób nauczyliśmy języka francuzkiego. Jednakże tak w pierwszym jak w drugim wypadku, nie podobna było zachować ściśle stanowiska przewodnika, ale trzeba było koniecznie zejść na drogę szczegółowego objaśniania. Użyliśmy zatem metody Jacotot'a z ważnemi zmianami, i mamy silne przekonanie, że tylko w takim razie może ona wydać pomyślne owoce. O ile nam wiadomo system Jacotot'a zaginął wraz ze swoim twórcą, i nie znalazł nigdzie zastosowania. (d. n.)

LALKI.

SCENY PRZEDŚLUBNE

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Inter calicem et os multa cadunt.
Przysłowie.

(Dalszy ciąg.)

— Cóż u licha—przerwał Adolf, jesteśmy starzy towarzysze i przyjaciele, zaufania nie zdradzę ani go nadużyję, możesz być ze mną otwartym. Dzieją się tu rzeczy, które w zwykłych życia stosunkach nie trafiają się, wytłomaczysz mi je i objaśnisz. Moja kuzynka ma opiekuna, który ją gwałtem chce wydać za synowca.

— Jakto gwałtem? czyż baronówna nie chce wyjść za niego? Słowo dała.

— Ale serca nie dała, odparł Adolf, to nie ulega najmniejszej wątpliwości, małżeństwo jakie się składa najwidoczniej źle każe wróżyć o przyszłości, któż jest ten umierający despotyczny opiekun, co je klei?

Pęklewski spoważniał bardzo.

— Hr. Filip jest moim pryncypałem, protektorem i człowiekiem. któremum wielce obowiązany. Surowo go sądzisz. Nie jest to despota, ale człowiek silnej woli i rozumu wielkiego, Synowca chce ożenić aby go majątkowo podnieść, to być może, ale przekonany jestem że energiczny dosyć charakter baronównej i nie szkodliwa nicość (ale to w sekrecie zatrzymaj) hr. Romana wchodzą u niego w rachunek. Panna będzie panią w domu i powoli go na pasku poprowadzi.

Nieczujski ramionami ruszył.

— Ale ją poświęca? wrzucił—to się nie godzi.

— Według swojego przekonania, nie. Roman jest chłopak uczciwy, tylko sparaliżowany wychowaniem. Zdaje mi się że stryj widząc to, małżeństwa pragnie dla niego, aby ona za oboje rozumem starczyła—lecz i jej z nim źle być nie może, chłopiec przystojny, dobrze wychowany.

— A! to się u was nazywa dobre wychowanie, przerwał niecierpliwie Nieczujski, że po woskowanych posadzkach ślizgać się będzie umiał z szykiem, mój doktorze!

Z kolei doktór ramionami ruszył.

— To się nazywało dotąd dobrem wychowaniem, rzekł, gdy młodzieniec wielkiego domu, elegancko dom reprezentował. Nie wymagano odeń nic więcej. Chciano panicza z niego zrobić i tak go wystrychnęli.

— Przypuść że nieszczęście, które może wszystkich spotkać, nawet takiego Zebrzydowskiego: przypuść że zubożeje, że jutro nic mieć nie będzie, co pocznie?

Pęklewski zmilczał.

— Lekcye tańca dawał i uczył Menueta, a w dodatku, począł żywo Adolf, co za idea ślub przyśpieszać nie dać się im rozpatrzeć, poznać, samym o sobie wyrokować.

Doktór począł chodzić zamyślony.

— Dajmy temu pokój; co jest i co być musi, dodał, my na to nie poradzimy.

— Być może, ale na to z zimną krwią patrzeć nie podobna, odparł Nieczujski. Owszem, jestem tego przekonania, iż powinniśmy wszyscy zapobiedz nieszczęściu, które się w oczach naszych gotuje.

— Lecz czyżby Baronówna tak była przeciwną?

— Ona go znieść nie może i znosi tylko przez jakąś wdzięczność dla opiekuna. Zdaje mi się jednak, że żądać by ją tak daleko posuwała....

— Dajmy temu pokój, powtórzył Pęklewski, mnie nawet mówić o tem nie wypada. Niech się sobie dzieje co chce. Co mi tam do tego!! Nie mięszam się do niczego.

Nieczujski spojrzał; Dr. Pęklewski zabierał się do drzwi. Jak-że ty jesteś z hrabią Romanem?

— Nijak, rzekł śmiejąc się Adolf, on mnie ignoruje, a ja mam litość nad nim. Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć: ja mu zawadzam, a on mnie niecierpliwi.

— Bądź co bądź — aby się i na mnie nie pogniewał za to żem tu przyszedł, nie idąc wprzód do niego, pozwól bym tam poszedł — powrócę...

Niespokojny wybiegł Pęklewski szukać hr. Romana, słusznie się domyślając, iż go odwiedziny w oficynach zniecierpliwią. Zastał go chodzącego po pokoju, ręce w kieszeniach, z miną pańską i chmurną.

Doktorowi szło o to bardzo, aby się w łaskach u hrabiego utrzymał, dostrzegł zaraz chmury i usiłował je rozpędzić.

— Hrabia daruje, żem tu nie pospieszył, znalazłem niespodzianie dawnego uniwersyteckiego towarzysza i chciałem się z nim rozmówić, przyznaję się, ażeby z niego coś wyciągnąć.

Roman popatrzał.

— Cóż to jest ten Nieczujski? spytał.

— Był to bardzo dobry uczeń w uniwersytecie i—jak sądzę zamożny obywatel.

— Garbarz.

— Może być że ma garbarnię.

— Wlazł tu i siedzi nie wiedzieć czego... prosty człek, nieznośny i daje sobie tony... Pan byś mu choćby ode mnie, dać powinien do zrozumienia, że najlepiej by zrobił gdyby sobie ztąd pojechał.

— Ja sądzę że on to uczyni i bez mej rady, bo mu jak mówi, do domu pilno.

— Bardzo się cieszę.

— Baronówna jutro jedzie do Pruhowa... cóż on tu będzie robił.

— Więc jedzie! uśmiechając się rzekł Roman—a zatem i ja towarzyszę.. to dobrze.. Tu chwili nie było swobodnej, tak ta szlachta okoliczna się cisnęła.. ohydnie...

Pęklewski milczał.

Hrabia był, jak na siebie, dosyć ożywiony, dobył chusteczkę i wachlując się nią mówił i chodził.

— Widocznie tu buntowano Baronównę...

—Nie mogłem inaczej postąpić tylko dać znać stryjowi... Jakież to na nim uczyniło wrażenie.

— Do mojego wyjazdu nic nie uważałem oprócz niepokoju i niecierpliwości, odezwał się Doktór, lecz jeśli mam prawdę powiedzieć, lękam się aby choroba, której postęp z trudnością mi przyszło zahamować, nie pogorszyła się; Roman westchnął.

— Jedźmy dzisiaj, rzekł po namyśle, uprzedzimy Baronównę.

Pęklewski skłonił się posłusznie, oba razem powrócili do salonu. Tu Lolę zastali spokojnie siedzącą z Hermą nad książką. Spojrzała na wchodzącego Romana i położyła swoją na stole. Z kapeluszem w ręku postępował ku niej krokiem mierzonym.

— Ponieważ pani była łaskawa przyrzec nam swą obecność w Pruhowie, chcę ją poprzedzić jeszcze dzisiaj... D. Pęklewski jest stryjowi potrzebny.

Lola skłoniła się tylko.

— Ja, rzekła zwracając się do Doktora, kazałam już konie rozstawić, tak abym jutro choć późno powrócić mogła, wyjdą przededniem, będę więc w Pruhowie wcześnie.

Prawie natychmiast nastąpiło chłodne pożegnanie, gdyż Roman odmówił zaproszenia na herbatę i pośpiesznie wyszedł, ciągnąc za sobą Pęklewskiego, któ-

ry ledwie otrzymał pozwolenie pożegnania dawnego towarzysza.

— Jakto? jedziecie zaraz? zapytał Adolf.

— Każą mi — muszę.

— No! i znowu lat dziesięć widzieć się nie będziemy.

— Być może.

Ścisnęli się za ręce.

— Doktorze, odezwał się Nieczujski, powiem ci szczerze, żal mi cię, grasz rolę dworaka, z którą ci ciężko i która cię do niczego nie doprowadzi. Wolałbym żebyś, w małem miasteczku biedę klepał, dorabiając się uznania i klienteli.

— Być może iż na tem skończę, szepnął Pęklewski.

— Aleś od tego zacząć był powinien, zakończy Nieczujski i uściskał go. Życzę szczęścia.

Już u progu schwycił go jeszcze.

— Jeśli ci się zręczność trafi, dorzucił, spełnij obowiązek i odradzaj staremu aby ich nie żenił. Niewymownie mi tej kobiety żal, którą ten człowiek pociągnie w swój świat i moralnie zabije.

Uwolnił się Pęklewski nie dawszy odpowiedzi.

W pół godziny potem ekwipaż hrabiego wyruszał z przed ganku. Herma patrząc oknem, odezwała się.

— A! gdyby raczył nie wracać!!

Lola z głową spuszczoną nad książką westchnęła tylko.

Do dnia wyruszyła Baronówna, uprosiwszy z sobą kapitanowę, która jej towarzyszyła. Nieczujski przyszedł się pożegnać do powozu. Na widok jego Lola wydobyła rękę, by mu ją podać.

— Panie Adolfie, zawołała cicho, nie opuszczaj mnie pan... siedź! Proszę nie myśl o wyjeździe póki się moje losy nie rozstrzygną. W panu czuję jakąś męzką nad sobą opiekę.

Konie ruszyły, Adolf długo zamyślony pozostał, zawrócił się potem i poszedł do swych książek do oficyny.

Herma, która się nudziła gdy jej kilka tylko godzin sam na sam z sobą zostać przyszło, nie wiedziała co począć. Czytała, grała, patrzała w okna, ziewała, gniewała się, drzemała, a gdy pora obiadowa zbliżać się zaczęła, posłała bez ceremonii po pana Adolfa który nadszedł.

— Pan jesteś niegrzeczny, przywitała go od progu. Wiesz ja jestem samiuteńka jedna skazana na nudy i niedomyśliłeś się przyjść mnie bawić.

— Ale bo widzi pani, ja i zabawny nie jestem i bawić nie umiem.

— To trochę prawda, ale byś się nauczył, jakbym panu dała kilka lekcyi Pan jesteś dziwny człowiek, dodała Herma, pan jesteś bardzo dziwny.

— W czem?

— We wszystkiem... Grasz, choć młody, rolę sensata, dobrowolnie się czynisz nieznośnym.

— Nie jestem tu w swoim żywiole, odparł Nieczujski, niech mi pani wierzy, iż właśnie żadnej roli grać nie umiem i nie gram. Jestem całe życie tym nudnym człowiekiem, jakim mnie pan Bóg stworzył.

Spojrzała nań Herma dziwnie.

— No, nie powiem żebyś pan był nudnym, ale excentrycznym. Trochę więcej salonowej politury by nie zawadziło...

— Tej już nie nabędę, roześmiał się Nieczujski, a w towarzystwie w jakiem żyję zwykle i do którego wrócę prędko, ona mi niepotrzebna.

Herma podparła się na ręku i zadumała.

— Wiesz pan, rzekła cicho, kto inny na jego miejscu, umiałby korzystać z tak dziwnego składu okoliczności.

— Dla nabycia polityry? spytał Adolf.

— A! nie! niecierpliwie nóżką tupiąc dodała Herma. Jak to? więc pan jesteś ślepym?

— O czemże mowa, nie wiem? podchwycił Nieczujski.

Popatrzywszy mu w oczy piękna pani mówiła dalej, ciszej coraz.

— Kto inny na pańskiem miejscu powziąłby niechybnie myśl choćby zuchwałą, korzystania z tak nadzwyczaj mu przyjaznego usposobienia Loli.

Widząc Adolfa który w nią wlepił oczy zdziwione, jakby zrozumieć nie mógł co chciała powiedzieć, Herma poruszyła się żywo i dodała.

— Nudny pan jesteś? czyż jeszcze nie rozumiesz?

— Słowo pani daję że nie mogę zgadnąć o co chodzi, odpowiedział spokojnie Nieczujski, nie mam sobie do wyrzucenia, abym nie korzystał z dobrego usposobienia Baronówny. A ilekroć się zdarzy daję jej jak najsumienniejsze rady...

Herma się śmiała, popatrzyła długo, długo na Adolfa, skrzywiła piękne usta, pokręciła główką i cicho szepnęła jakby do siebie.

— Jakiż pan jesteś naiwny!

— Mógłbym się pogniewać za ten przydomek, przerwał Nieczujski, bo to synonim niemal... głupiego...

Ruszyła ramionami Herma.

— Widzę, odezwała się, z panem inaczej mówić potrzeba. Ja jestem ciągle z Lolą, zwierza mi się co myśli i czuje prawie mimowoli, mogę więc o tem sądzić i nie mylę się, że zewszystkich mężczyzn jacy tu bywają i co się jej poznać dali, pan u niej miałeś najwięcej szczęścia —ale najmniej na to zasłużyć się starałeś. Jak ono się panu dostało, nie wiem, lecz widzę, że Lola ma dla pana skłonność..

— Przyjaźń, przerwał rumieniąc się Adolf...

— Ale co tam przyjaźń! uderzając o stół ręką dodała Herma... gdybyś pan umiał korzystać, powtarzam, łatwo by się zrobiło goretsze uczucie...

Nieczujski dziwnie wstrząsnął głową.

— W żaden sposób być to nie może — rzekł, ja i ona wychowaliśmy się i przeznaczeni jesteśmy do dwóch różnych wcale światów, mogą się znaleźć pewne sympatye i zgodności, lecz tylko dla tego że się za mało znamy. Baronówna ma błyszczeć na wielkim świecie, do którego ja nie jestem stworzony, jam człowiek pracy, a ona ..

Nie dokończył.

— Właśnie może te sprzeczności ją do pana zbliżają, poczęła Herma. Zresztą ja w rozbiór przyczyn i odgadywanie pobudek zapuszczać się nie umiem, ale dosyć niedyskretnie zdradzam przyjaciołkę... Ona cały dzień nie myśli, nie mówi nie troszczy się tylko o pana...

Nieczujski mocno się zmięszał...

— A! to się pani zdawało, zawołał, jest tem grzeczniejszą i troskliwszą żem tu gościem i że chce mi życzliwą i gościnną się okazać.

Herma porwała książkę ze stołu, otworzyła ją i nagle zdesperowawszy zaczęła ją czytać. Adolf zobaczywszy to wziął się do przeglądania albumów. I była długa milczenia chwila, lecz z udradkiem badając twarz Adolfa, Herma łatwo się przekonać mogła, że iskra którą rzuciła nie wpadła w wodę i nie zgasła. Pan siebie i umiejący rządzić nawet wyrazem twarzy, Nieczujski był widocznie pod wrażeniem tego co świeżo usłyszał. Siedział zadumany z oczyma wlepionemi w książkę, w której nic nie widział. Machinalnie przewracał karty, czoło jego marszczyło się i wygładzało, wewnętrzna walka wstrząsała przez chwilę spokojną duszą... Znać że się musiał głęboko zatopić w sobie, bo gdy oznajmiono do stołu i Herma wstała, przyszła do niego, wyciągnęła doń rękę aby ją prowadził, to stała niepostrzeżona długo i śmiechem dopiero potrafiła go rozbudzić. Zerwał się przelękły oglądając, jakby nie wiedział czego może chcieć od niego.

(d. c. n.)

Z Londynu do Liverpoolu

z podróży

Sygurda Wiśniowskiego.

(Dokończenie).

Lecz w kraju gdzie dom niby udzielnym księstwem, gdzie indywidualność rodzin tak dalece posunięta, iż każda z nich ma osobną siedzibę, odpowiadają domy takie potrzebom mieszkańców. Kuchnia i piwnica w suterenie, jadalnia i czytelnia na dole, bawialnia i sypialnia państwa na pierwszem piętrze a sypialnie sług i dzieci na drugiem, wystarczą rodzinie nawet dość wybrednej. Zamknąwszy drzwi od ulicy mogą tam żyć jakby odłączeni od reszty świata. Anglik czuje się tylko jako tako szczęśliwym, gdy w ten sposób mieszka, lub gdy zbyt ubogi by nająć dom cały dla własnego użytku, marzy o nim bezustannie. Dom—a home—ma u niego inne znaczenie jak u ludzi mieszkających na stałym lądzie. Myśl iż w innych krajach po kilkanaście rodzin w jednej się ciśnie kamienicy, że krzyki jednej z nich dolatują wszystkie inne, napełnia go zgrozą. Zresztą lubi by i sień jego i wschody były wysłane miękkiemi kobiercami, by służba nie marnotrawiła czasu na gawędach ze sługami sąsiadów. Te upodobania tylko we własnym zaspokoi domu, a gdy czynsze tutejsze wcale nie wysokie w porównaniu z innemi stolicami, łatwo mu mieszkać dobrze i przestrono.

Obfitość kapitałów i niska stopa procentowa w Anglii, zachęciły ludzi majętnych do budowania domów i do wypuszczania w dzierżawę za cenę, dającą tylko mierny dochód od wkładu. Brak pomieszkań tak okropnie dokuczający średnim stanom w Wiedniu, Berlinie, a nawet Peszcie lub Lwowie, zupełnie tu nieznany. Bardzo przyzwoite rodziny znajdują domy przestrone i schludne, za cenę mierniejszą od płaconej w innych stolicach za kwaterę złożoną z kilku klatek.

Jakże mile mieszka się w tych kamieniczkach londyńskich. Rzeźnik, malarz, piekarz, przekupień z jarzynami, zjawiają się zrana ze swemi towarami u drzwi domu, kupcy przysyłają ci wszystko za listowem wezwaniem. Strata czasu, wynikająca z chodzenia na targi nieznana, ani też powierzanie pieniędzy sługom, by robiły zakupy w mieście. Wygodny rozkład wnętrza domu, niezbyt wykwintne, lecz dobrze obmyślane sprzęty, cisza i łatwość otrzymywania wszystkich potrzeb bez wychodzenia na ulicę, tworzą *comfort* angielski. Jak słowo to trudno przetłomaczyć na inny język, tak i znaczenie jego nie łatwe do pojęcia dla ludzi nieznających Anglii. Zbytek, przepych, wygódki wszędzie znajdziesz za pieniądze, lecz ów nieopisany komfort każdemu nie nędzarzowi tu dostępny, tylko w angielskich posiadłościach spotykałem.

Nawet i nędza w miastach angielskich, pomimo, iż ogromna czasami, może nie bardziej straszna jak w innych przeludnionych stolicach. Gdzie ludzie gromadzą się w masach milionowych, brak pożywienia i pomieszczenia dają się im często we znaki. Jest to nieunikniony skutek nienaturalnego rozwoju nowożytnej cywilizacyi. Zresztą i klasy wyrobnicze angielskie, tak skłonne do pijaństwa, czy to w skutek klimatu czy złego przykładu, niemało przyczyniają się swą nieoględnością do pomnożenia biedy. Kto tylko przeszedł się w Sobotę wieczorem po ubogich dzielnicach Londynu, i przypatrzył się uważnie jak robotnicy marnotrawią na zatrute napoje zarobek tygodniowy dość obfity, łatwo pojąć dla czego ich rodziny skazane na niedostatek. Gdyby sługa francuzka tyle pobierała co kucharka lub pokojówka w naszym

hotelu, lat 10 oszczędziłaby dość by wrócić *„dans son pays"* i znaleźć męża. Tutejsze dziewczęta raczej niosą swe pieniądze do piwiarni jak do kasy oszczędności.

A teraz kochany Redaktorze, gdy uraczyłem Was może zbyt długiemi uwagami nad stosunkami społecznemi Albionu, wybieram się na dworzec kolei i puszczam do Liverpoolu, gdzie olbrzymi parowiec, wyglądający pono jak miasteczko pływające, czeka niecierpliwie na ludzką ładugę. Załoga jego pewno już rozpala ognie pod kotłami, para poczyna szumieć i wstrząsa całym gmachem, przygotowując się do zapasów z falami i wichrem.

. . . .

Stary Czech, gospodarz mój pożegnał mię dość życzliwie, a co więcej wcale nie przesadzony podał rachunek. Ta okoliczność zmniejsza cokolwiek mą niechęć ku Europie, nabyta w części w skutek zdzierstw po hotelach, podczas mego w niej pobytu.

Gdzie się ruszyłem wszędzie musiałem się lub kłócić lub cierpieć zdzierstwa: z wyjątkiem londyńskiej mej gospody, spotkałem w podróżach po środkowej Europie tylko sępy i kruki, a stokroć bardziej zgłodniałe jak były raubrittery nad Renem i Kalabryjscy zbóje. Wyjątek więc jedyny z pomiędzy rozbójniczej zgrai, wymieniam więc jako *„rara avis"*.

Zresztą może on już syt pieniędzy, gdyż liczy lat 79. Przybywszy do Anglii bez grosza przed pół wiekiem i nic nie umiejąc oprócz gry w szachy, począł w niej udzielać lekcye. Z czasem sława jego rozeszła się w kołach arystokratycznych, i pobierając gwineę (42 złp). za godzinę, wnet się dorobił mająteczku. Lord Paget, ów adonis w którym królowa Wiktorya pono gustowała zanim za mąż poszła, (i który wyśpiewał ból zawiedzionej w miłości w piosnce tęsknej i słynnej do dziś w Anglii), był przez czas długi jego uczniem.

Dziś weteran ten szachowy wzdycha już nie tyle za pieniędzmi jak za honorem zostania radzcą kościelnym. Chętka angielska odgrywania roli jakiej takiej bogdaj w ciasnym obrębie swej parafii, nabawia go na stare lata niepokoju. Co ten człowiek zadaje sobie pracy podczas wyborów, by nakłonić sąsiadów do głosowania za nim! Ileż to złotych funtów długo ciułanych wydaje wówczas na traktamenta szampanem i żółwią zupą! Ile upokorzeń znosi by osiągnąć niepłatną godność!

Dotychczas nieudało mu się zostać churchwardem (*). Przy elekcyi następującej za dwa lata, spodziewa się jednak postawić na swojem.

Za dwa lata!.. wszak ma lat 79. Jak dziwacznie wygląda taka nadzieja w człowieku, stojącym jedną nogą w grobie! Lecz któryż z nas młody lub stary nie spodziewa się jeszcze długiego życia?

Pożegnawszy go wyjechałem do dworca zwanego Euston station, zkąd odchodzą pociągi do Liverpool. Ranek był piękny i po raz pierwszy od czasu mego przyjazdu do Anglii zapowiadał stałą pogodę. Właśnie w dzień taki, gdy można używać przyjemnej przechadzki po parkach lub zrobić wycieczkę za miasto, wypada mi wyjeżdżać.

Wesoło wyglądały zielone ogródki na londyńskich squarach, a dworzec kolei zapełniała gwarna gawiedź wybierająca się za miasto, by użyć świeżego powietrza i spocząć na murawie. Londyn byłby wcale miły, gdyby przez 300 dni na rok deszcz w nim nie padał.

Krajobraz między Londynem a miastem *Stafford*, leżącem o jakie 120 mil angielskich na północ, bardzo powabny. Falowate wzgórza, częste podzielone żywo płotami nie na ogródki, jak w południowej Anglii, lecz na łany często kilkunasto morgowe, wdzięczą się wygodnemi i schludnemi domami fermerów (dzierżawców), pałacami i parkami możnych i gotyckiemi kościołami. Kościołki te, tuląc się w cieniu drzew olbrzymich, często okryte zielenią bluszczów pnących się aż do poddasza, stoją zwykle wśród cichych wiejskich cmentarzów. Zdrowa dziatwa igra pomiędzy kurhanami—przyszłość na grobie przeszłości.

Doliny pomiędzy wzgórzami przecinają, lub wązkie rzeczułki o cichych wodach, lub kanały ręką ludzką kopane. Liczne łodzie olbrzymiego kształtu ciągnione zwolna przez konie flamandzkie, przesuwają się wolno po gładkich wodach.

Jak w całej Anglii tak i tu, daleko więcej ujrzysz łąk i pastwisk jak uprawnych łanów. Ten kraj mięsa zupełnie ma odrębny sposób gospodarski od innych. Woły, owce i konie rozmnożone w liczne stada żyją trawą i turnipsami krajowemi, ludzie ziarnem obcem. Wszędzie tu ujrzysz mnogie i nader poprawne trzody.

Choć, Anglia nie ma lasów, przecież patrząc na tę część jej z okien wagonu myślisz, iż borami okryta. Szeregi drzew rosnące na miedzach, ogrody otaczające gospodarstwa i fermy rozsiane po całym kraju (bo rolnicy tu się nie kupią po wsiach i parki ludzi majętnych, wydają się w oddaleniu jak gęste gaje.

Minąwszy Stafford zbliżając się do Liwerpoolu, widzisz wielką zmianę w krajobrazie. Zamiast białej skały wapiennej, czerwony piaskowiec tworzy tu pokłady służące za podstawę ziemi napływowej. Ilość żółtych plam na polach (snać ścierniska po niedawno zżętem żniwie) dowodzą, iż uprawiają zboża jak na południu. Drzewa rzadsze, oko więc może oglądać obszerniejszy krajobraz. Na prawo i na lewo ciągną się płaszczyzny, dawne bagniska dziś osuszone i zmienione w żyzne łany. Gdzie niegdzie ujrzysz jednak czarne obszary tu i owdzie porastające trawą rudawo-zieloną. Te nieosuszone dotąd *torfowiska* zowią tu moor (czytaj mur). W porze niezbyt dżdżystej pasą na nich owce lub ćwiczą żołnierzy na równej ich powierzchni, podczas długich deszczów zalewa je woda.

Z pomiędzy płaszczyzn wznoszą się co chwila grupy czerwonych i dymiących kominów. Snać zbliżamy się do hrabstwa *Lankaster*, tego zbioru miast fabrycznych. W nim to żyją miliony ludzi li z sprzędzenia bawełny, setki tysięcy li z kopalni węgla i żelaza. W hrabstwie Stafford większa część mieszkańców wyrabia słynne owe towary garncarskie, w których Anglia przewyższa wszystkie inne kraje.

Bez ustanku mijają nas pociągi pełne węgla i sztab żelaznych. Przychodzą one z tak zwanej Black country (czarnego kraju), nazwanego tak w skutek swych kopalni i fabryk. Tam węgiel i dym czernią i ludzi i budynki. Tysiące morgów obszaru zalegają w nim żużle wyrzucane z fabryk i z hut; wyziewy i dym niszczą w nim roślinność; kraj cały wygląda za dnia i w nocy jak jaka piekielna okolica, bo jałowa i czarna przy świetle słońca, a w nocy zakrwawiona łuną ogniów buchających z hut i z kominów.

Dojechaliśmy do Liverpoolu w 5½ godzin po wyjeździe z Londynu. Pociąg nasz tylko pięć razy zatrzymał się w drodze i ubiegł wliczając przestanki więcej jak 50 mil angielskich na godzinę. Pomimo szybkości tej uprzedził nas inny pociąg, wiozący pocztę i podróżnych pierwszej klasy. Tak pośpieszna jazda zupełnie nieznana na stałym lądzie.

Liverpool przedstawia się lepiej od Londynu, gdyż ulice ma szersze zwykle i prostsze. Sposób budowania domów jednaki, ruch na ulicach o tyle różny, iż w Londynie więcej wykwintnych powozów ujrzysz, tu więcej bryk ciężkich.

Oprócz parku leżącego na zachodnim końcu miasta, zbywa w Liverpoolu na owej zieleni uprzyjemniającej place londyńskie. Park ten wcale jednak piękny. Prócz niego, i kilku gmachów jak giełda, dom celny itp. nie widziałem wiele ciekawego w samem mieście.

Port przedstawia widok bardzo wspaniały. Pomiędzy miastem a rzeką Mersey ciągnie się szereg doków sztucznych, jak pasmo jeziór czworobocznych otoczonych gmachami, służącemi na składy. Doki te mają pewno milę długości.

Wody ich oddziela od rzeki szerokie *quai* czyli grobla granitem wybrukowana. Za nią spotkasz wody Mersey, mające tu ćwierć mili szerokości. Olbrzymie parowce spoczywają w podwójnym szeregu na wodach wezbranych przypływem morza. Żaglowców nie ujrzysz na rzece, znać spoczywają w dokach. Parowe promy przewożą ludzi na brzeg przeciwny, gdzie szarzeją mury miasta Birkenhead, leżącego tuż naprzeciw Liverpoolu.

Ruch na grobli ogromny, boć to najhandlowniejszy port Europy, nie wyjmując Londynu. Ludność tutejsza nie zna innego zajęcia jak około przybywających i odchodzących okrętów. Do Londynu przybywa pono więcej drobnych statków jak do Liverpoolu, tu więcej dużych okrętów. Tamten posiada znakomitszy handel nadbrzeżny z Europą, ten z Ameryką.

Gdyby nie Glasgow w Szkocyi, to Liverpool zmonopolizowałoby cały handel pomiędzy Stanami Zjednoczonemi a Anglią. Dziś prawie wszystką bawełnę świata tu przywożą.

Zkąd też kędy rzucisz okiem, widzisz olbrzymie paki bawełny płótnem i ujęte w żelazne obręcze. Stosy ich zalegają magazyny w dokach, bruki na ulicach trzeszczy pod ich natłokiem. Patrząc na takie zasoby białego puchu, myślałbyś iż to przędziwo wystarczy na perkal dla całego świata. Ale przędzalnie w Manchester zużywają sto razy więcej co miesiąc, jak go ujrzysz w najobszerniejszym doku Liverpolu!

Umieściwszy mój kufer w składzie należącym do właścicieli statku odwożącego mnie do Ameryki, by za kilka miedziaków spoczywał tam do jutra, i nie nabawiał mnie kłopotu, przebiegłem nadrzeczną część miasta, i przypatrzyłem się ludziom i gmachom. W prawne me oko wnet dostrzegło, iż dwa tu przeważają żywioły: morski i irlandzki. Granatowe bluzy, czapeczki o czworobocznych daszkach, chód kołyszący się, cechują znaczną część przechodniów. Liczne szynkownie przepełnione pijącym tłumem majtków i kobiet rubasznych, sprawiają niemiłe wrażenie. Niektóre części Liverpoolu dziksze nawet jak zaułki Londynu wzdłuż doków West India, i pomimo zamiłowania mego do wyszukiwania przygód, umknąłem z nich zanim zmrok wieczorny je ogarnął. Niebyt tu pono bezpiecznie bawić się w Harun Al Raszyda.

Z lica wielu kobiet i mężczyzn i z akcentu dziwnego, wyczytuję pochodzenie irlandzkie większej części mieszkańców ubogich. Dla Irlandczyków Liverpool tworzy rodzaj El Dorado: w nim znajdują zajęcie odpowiednie ich sile fizycznej i zwyczajom. Niechętnie biorą się oni do pracy wymagającej zręczności, lecz przy wyładowywaniu statków nader użyteczni. Jak wszędzie tak i tu odznaczają się burzliwością charakteru. Ciągłe ich krzyki i zwady wymagają wiecznego mięszania się policyi: dzielnice zamieszkane przez nich brudne, gwarne, o domach przepełnionych mieszkańcami i niezdrowych, o rojach ludzi w stroju obdartym i o twarzach z których pijaństwo lub głód patrzą. Ulice takie zrażają każdego turystę zwiedzającego Liverpool dokładniej.

Względem tej mnogości Irlandczyków wypada by obcy przybysz, mianowicie zaś jadący do Ameryki, miał się na baczności. Stanąłeś z twym kufrem na

(*) Tak zowią urzędników zarządzających parafią.

grobli już ciągnie cię kilku olbrzymich drabów za poły i tytułując „Your Honour" (Wasz honor) narzucają ci się ze swemi usługami. Ten chwyta za kufer, ów za torbeczkę podróżną: czasami pobiją się o zaszczyt niesienia twego tłomoka do hotelu, częściej trzech wlecze ciężar zbyt lekki dla jednego, by później o potrójną upominać się zapłatę, a choć sami się narzucili, i jeden by ci wystarczył, przecież każdy z natrętów domaga się szyllinga.

Opędziwszy się od nich spotkasz inne niemniej drapieżne zwierzęta. Niemcy i Anglicy, agenci już to domów zajezdnych najniższego stopnia, już to miejsc gorszych, jakoteż oszuści czychający na niedoświadczonych emigrantów, łapią podróżnego i tylko ostrą odpowiedzią lub zagrożeniem, iż konstabla zawołasz, pozbędziesz się najupartszych.

Biada niedoświadczonemu, gdy dostanie się w ich łapkę! Zawiódłszy go przez labyrynt brudnych zaułków do knajpy lub domu rozpusty, ogołocą go podstępem lub gwałtem z sakiewki, a czasami i obiją. Niemcy nieznający miasta i mowy odjeżdżający ztąd tysiącami do Ameryki, najbardziej cierpią od tej zgrai. Przy zgiełku panującym na groblach w dzień odjazdu parowców, nie łatwo najczujniejszej policyi dopilnować tych hultajów.

Przenocowawszy w mieście udałem się o 7-ej rano na statek. *Minesota* spoczywała wśród rzeki, musiałem więc wynająć łódkę, nie chcąc czekać na mały parowiec odwożący później do wielkiego statku. Dawne me morskie doświadczenie, a każe mi zawsze zjawić się na pokładzie przed towarzyszami podróży. Jedyny to sposób zapewnienia sobie dobrej kabiny i łóżka wysokiego dokąd nie dobierze się woda, nawet gdyby fala wpadła przypadkowo przez drzwi otwarte do wnętrza kajuty.

Oprócz Minesoty opuszczają Liverpool dnia dzisiejszego dwa inne parowce. Jak nasz tak i one pełne podróżnych, po większej części wychodźców. Z tego jednego portu przeszło 4,000 osób odpływa co tydzień do Ameryki!

Warto zastanowić się głębiej nad tak ogromnem wychodźtwem. Większa część tych ludzi w sile wieku, prawie wszyscy pełni energji. Z każdym z nich ubywa Europie, a przybywa Ameryce zasób sił zdolnych i chętnych do pracy.

Przysłuchajmy się ich rozmowom. Anglicy i Irlandczycy przeklinają ziemię, którą opuszczają, gdyż li nędzę w niej znali. Niemcy cieszą się nadzieją, iż odtąd już nikt ich nie zmusi do noszenia mundurów. Każdy z nich zionie niechęcią ku staremu światu, wielu liczy ile miesięcy zajmie im w Ameryce uciułanie kilkunastu funtów. Te poszlą rodzinie, by mogła opuścić kraj ciężkiej pracy a małej zapłaty.

Przy takiej ogólnej niechęci do tutejszych stosunków, niepomogą opisy niedostatku w Ameryce i trwożenie wychodźców iż ludność tamtejsza li czycha na ich zgubę. Pomimo rad ogłaszanych w dziennikach i ostrzeżeń rządowych, tysiące ich będzie opuszczać ziemię przodków, coraz bardziej będą się wyludniały całe prowincye, coraz będzie trudniej o robotnika. Listy tych którym się dobrze wiedzie w nowej ojczyznie, daleko silniej działają na umysły nędzarzy pozostających w starej, jak wszelkie doniesienia gazeciarskie i przesadne opisy biedy w Ameryce.

Li polepszając los tych, którzy nie wyszli, możnaby zmniejszyć w masach pociąg ku emigracyi. Lecz któż myśli o tem? Rządy angielskie i niemieckie zbyt zajęte wysoką polityką, by się zastanawiały jakie skutki wynikną z bezustannego ubywania młodzieży w ich krajach i nagłego wzrostu rzeczypospolitej na Zachodzie.

Jak sobie pościelą tak się pewno i wyspią.

Długo mógłbym jeszcze rozprawiać o wychodźcach lecz już poczyna drzeć statek nasz od obrotów śruby, para wydziera się z przeraźliwym świstem gardła piszczałki, a statek przesuwa sią zwolna po żółtych wodach Mersey. Zanim pędu nabędzie, żegnam Was raz jeszcze.

Korespondencya zagraniczna.

z Krakowa w Kwietniu.

Wyrzekłem w poprzednim liście, że na koncercie P. Bylickiego, który sam jeden ciężar zachwycania publiczności z tryumfem istotnym dźwigał, (ale zachwycania tonem fortepianu), stała się owa tajemnicza przemiana w charakterze krakowian, smyczkiem P. Remeny sprawiona. Jak raz obudziło się to uczucie dla muzyki, głęboko w sercach naszych ukryte, tak już w pełni siły trwało, i objawiało się przy najlżejszem potrąceniu. Koncertów pana Śmietańskiego pod różnemi godłami było cztery, panów Remenye i Marka także najrozmaiciej tytułowanych nie mniej jak cztery: teatrów amatorskich z obrazami żywemi trzy (obrazy raz tylko) odczytów na wszelkie najszlachetniejsze cele, a przeważnie dla młodzieży akademickiej, techników, szkoły sztuk pięknych. *dziewięć* a jeden dla słabości szanownego członka akademii, prelegenta Lucyana . Siemińskiego jeszcze nie doszedł do skutku. Wszystko to w ciągu niespełna dni dwudziestu, a więc nieraz zdarzały się po dwie uroczystości na jeden wieczór.

Sądzicież, że grano, śpiewano, deklamowano lub czytano przed pustemi ławkami? Bynajmniej! z wyjątkiem jednego może czy dwóch popisów tłok był zawsze. Nie zaliczyłem tu kilku odczytów dla ogółu publiczności odbytych w Muzeum Technicznem, które celu dobroczynnego, wspierania ubóstwa materyalnego nie zapowiadały, a jednak dokuczliwsze nad wszystkie inne, ubóstwo moralne zażegnać usiłowały. Na przykład odczyt *o nieśmiertelności duszy* Doktora filozofii, docenta uniwersytetu, Straszewskiego. Przedmiot o nieśmiertelności duszy dziś ciekawszy jak kiedybądź. W epoce powszechnej spekulacyjnej kradzieży, giełdowych szalbierstw, morderstw najwymyślniejszych a codziennych prawie, rzecz nader ciekawa, ważna i wielce użyteczna nawet byłoby wiedzieć, czy bezpiecznie kraść, oszukiwać i zabijać można, czyli też niebezpiecznie. Jeżeli dusza śmiertelną jest, wogóle, jeśli wreszcie jaka jest, to już tylko byłoby rzeczą zręczności, sztuki, rozumu wysoce ukształconego kraść lub zabijać tak, aby przebiegłość i mądrość sądów, przebiegłością i mądrością specyalistów w zbrodni prześcignąć. Wiadomo, że bywa kuglarz nad kuglarzy, że tak zwani wedle przestarzałych, zacofanych pojęć, złodzieje, właściwie zaś, po prostu *biegli w sztuce* nabywania, po cichu bez próżnego rozgłosu, cudzej własności, lub pozbawiania nieostrożnych życia, są ludźmi po większej części bardzo bystrego, przenikliwego umysłu i najczujniejsze, najdoświadczeńsze straże omylić umieją. Gdyby więc ludziom tak zdolnym z natury, społeczeństwo dostarczyło właściwych środków do umiejętnego traktowania kradzieży, kradliby, to jest nabywali pocichu od niedbalców, cudzego grosza a sąd o czynie przekonaćby ich nie potrafił. Wiadomość tedy pewna, dowodna, że to, co świat dotąd nazywał *duszą*, jest śmiertelne, wielkiego użytku byłaby dla ludzi wyższych zdolności oszustwom wszelkim, pragnących się poświęcić.

Gdyby zaś przeciwnie doktór filozofii lub jaki inny mędrzec dowiódł, że dusza jest *nieśmiertelną*, w takim stanie rzeczy, ponieważ nie mamy dotąd dostateczney pewności, że spekulanci na cudzą własność czyli *złodzieje*, mówiąc po staremu, na drugim świecie tak dobrze jak na giełdzie Wiedeńskiej lub Paryskiej są szanowani, że ich tam do odpowiedzialności nikt nie pociągnie, że nawet ku wielkiemu zgorszeniu bezwyznaniowców, mieliby być okrutnie prześladowani i karani, to przynajmniej łatwowierniejsi i tchórzliwsi gotowiby się wyrzec dobrego rzemiosła, bo silni i hartowni pewnych korzyści dla niepewnej kary opuścićby nie mogli.

Dla utwierdzenia się więc w sztuce, którą dzisiejsze dopiero pokolenie specyalnie i ze stanowiska umiejętności wyrabia, lub przejścia na inne pole usiłowań i studyów, wielu słuchaczy podążyło do muzeum, aby się dowiedzieć z ust własnych pana Straszewskiego, co mają sądzić o swojej duszy. Pomiędzy ciekawemi najwięcej było płci pięknej, która albo dziś na ten tytuł zasługuje, albo przed laty słusznie go piastowała. Dla niewiast prawo nieśmiertelności duszy jest sprawą żywotną, szczególnie dla młodych mężatek. Z powodu niedołężnie uorganizowanej instytucyi małżeństwa, dotąd młode panienki wychodziły za mąż albo w skutek wyraźnej woli rodziców, którzy po swojemu rozumiejąc szczęście, tego lub owego zalecali córkom za męża; albo pozostawiając im wybór z bardzo szczupłego grona młodzieży jednego miasta, powiatu, rzadko prowincyi, narażali je na zawód najboleśniejszy. Bo właśnie zdarzało się i zdarza dziś czasem, że młoda panienka poszedłszy za mąż nawet bogato — i może właśnie dla tego, że bogato, w podróży po innych ziemiach świata, w podróży życia nowego, nieraz dopiero na samym początku spotykała młodzieńca daleko ładniejszego, a szczególniej dowcipniejszego od męża. Kochanek od męża różni się właściwie tem tylko, że jest dowcipniejszy. W sercu, w domu i sumieniu powstają burze: młodzieniec oświadcza, że kochać będzie na wieki, byle był ukochanym, młoda żona przypadkiem uwierzy i zaraz ztąd nieporozumienia, zgryzoty, plotki i niesława, dla czego? Bo panience niepokazano w danej chwili wszystkich w okolicy najpiękniejszych i najdowcipniejszych. Wprawdzie świat powoli przychodzi do uznania siebie w sobie, mówiąc ściśle naukowym językiem, i zaprowadza śluby cywilne, wspólność *czasową* pożycia wiążące. Burmistrz o wierności serc, o wieczności nic nie gada, cnoty małżeńskiej nie zaleca, bo z natury urzędu swego pilnować ma porządku na ulicy, na dziedzińcach, domów ale nie w przybytku domowego ogniska. Zwyczaj małżeństw zawieranych pod groźą przysięgi, pod zastrzeżeniem wierności, ma chyba jedną tylko dobrą stronę, że stworzył dramat, dramatycznych pisarzy i dał światu niewyczerpaną, wieczorną rozrywkę, Dumasom, Scrib'om, Sardou i Feljetom nastręczył milijony szlachetnego zarobku, dyrektorom teatrów kierunek w obyczajach, aktorom sławę, ale szczęścia domowego nie zagwarantował. Nasi pisarze wprawdzie, mianowicie cnotę uprawiający, naiwnością średnio-wieczną, milijonów owych jeszcze nie znają, pracują dotąd istotnie tylko honorowo, dla tego iż zapłata honorarium się nazywa, ale z czasem może i oni do czegoś dojdą, byle za prędko śluby cywilne nie weszły w wykonanie powszechne.

Z tych pokrótce wyłożonych powodów i wielu innych niewymienionych, słuchaczek na odczycie o *nieśmiertelności duszy* było więcej jak słuchaczów. Słuchacze, czyli mężowie i kochankowie, są od wieków liberalniejsi, w imię postępu wiary żonom nie dochowują i cudze żony kochać radzi, ale niewiasty chciałyby formalniej, prawnie wiarę łamać, śledzą więc pilniej jak przed laty postęp nauk przyrodzonych, uczą się z zapałem i wiedzieć chcą stanowczo, co jest nieśmiertelności, czy jest i jaka, a mianowicie postanowiły dojść na pewne, jakiej trwałości jest ich dusza. Jeśli śmiertelna, to z cnotą niewieścią łatwiej dadzą sobie radę; jeśli nieśmiertelna, to głosować będą za ślubami tylko cywilnemi, które nie trudne do wykonania naznaczają obowiązki.

Pod wpływem ducha czasu, postępu, wspomnieliśmy, że czyny łamania przepisów dotychczas obowiązujących mnożą się znamienicie. Jeśli w tym stosunku ludzkość stale posuwać się będzie, nastąpi kiedyś takie przeobrażenie w pojęciach, że łamanie praw krępujących dobrowolne czyny, do normalnych czynności codziennego życia przejdzie, a wyjątki karze ulegać muszą.

Z nową zaprowadzoną Instytucyą sądów przysięgłych, mieliśmy trzy wielkie posiedzenia i trzy morderstwa do ukarania: dwa morderstwa fizyczne, czy lizabójstwa na ciele rozmyślne, dobrze skombinowane i dokonane, oraz jedno moralne — zabójstwo na honorze. Dwa pierwsze wyroki skazały winowajców na śmierć, trzeci uznał niewinność potwarcy. Jest w tym wypadku pewna *konsekwencya*, ścisłość w wyrzeczeniu i zgodność w pojmowaniu zbrodni. Jeżeli była obraza honoru, obraza idei jakiejś nieujętej w żadną widzialną formę, toć słuszna, że potwarca, zabójca honoru, idei oderwanej, która od ludzkości coraz bardziej odrywa się, a ludzkość ucieka od niej, że więc zabójca tego marnego cienia nie może stawać na równi z zabójcą ciała. Dziś ciało jest istotą uznaną, uświęconą, rzeczywistą, którą widzimy, której dotykamy się, więc stratę jej czuć i pojmować możemy: kto zabija ciało, mordercą jest, winowajcą istotnym: kto zabija ducha, marę, coś wątpliwej egzystencyi, lub nieegzystujące, jest niewinnym w obec rozsądku i filozofii.

Z innego znowu stanowiska sądząc, a zawsze mniej więcej pozytywnego, w wyroku Sądu jest trochę niekonsekwencyi: bo co było przedmiotem rozbioru, jaka miała być sądzona wina? honor obrażony. Skoro honor spotwarzony miał otrzymać zadosyćuczynienie, to filozoficznie rzecz pojmując, nie było czynu żadnego, ani złego ani dobrego. Honor w pogaństwie miał swój byt i źródło bytu, w chrześciaństwie wzrósł do niezmiernej potęgi, ale to zawsze był tylko wyrób ludzki, czasową, okolicznościową mający wartość; pewna chwila daje takiem jestestwom życie, utrzymuje przy życiu czasem bardzo długo, wieki, ale przychodzi chwila inna, mija rok, wiek, wieki nawet i wychodzą z użycia, z mody, bo potrzebę jego czuć się przestaje. Kiedy człowiek spadł z urzędu swego przez wieki piastowanego i znaiazł się na równi z całą zgrają stworzeń czworonożnych, wielonożnych i beznożnych, możnaż szukać w nim owej wrażliwości i czułości? Człowiek tego rodzaju, nowoczesny może czuć ból od uderzenia silnego jakiemś narzędziem twardem jako czuje to koń i spie, i małpa, może w skutek bólu zapalić się gniewem, ale obrażać się nie ma właściwie powodu.

Sprawa w sądzie o obrazę honoru jest niczem, nie jest w rzeczy samej sprawą, nie jest przedmiotem spornym, dla tego *Sąd przysięgłych* u nas uznał potwarcę niewinnym, a spotwarzonego skarcił jak należało, najdotkliwiej, bo pieniężnie. Możnaby w rozwijaniu wszelkich następstw z pojęcia i zasad nowożytnych wyobrażeń i podstaw nauki, zajść jeszcze dalej i bardzo daleko, niechaj jednak to, co się napomknęło wystarczy czytelnikowi, niechaj sobie raczy sam resztę dopowiedzieć i nie obraża się — chyba by mu kto do kieszeni sięgał.

Zapomnieliśmy na właściwem miejscu dodać, że śród wielu balów; koncertów i odczytów, odbyła się i loterya fantowa na cel dobroczynny. Słowem tańczono z największym zapałem, w najbogatszych strojach, aby ulżyć cierpiącej ludzkości: grano najskoczniejsze mazurki, aby ułagodzić smutek cierpiących. mówiono najweselsze wierszyki, dowcipu i humoru pełne, aby ulżyć nędzy, puszczano na loteryą złote i srebrne cacka, aby dać biednym, od zimna drżącym, kilka centów na węgle, chleb i łez otarcie. Robiono zatem wszystko co rozum i serce dyktuje, co honor wskazuje, aby bliźniemu dać dowód miłości. O kilku ważniejszych odczytach, słów parę skreślimy w następującym liście.

ABC.

Przegląd literacki.

Mała Grammatyka Polska, rozłożona na pytania i odpowiedzi (.) kurs pierwszy przez **J. Maleczyńska**. Warszawa 1873 r. in 8o. Stron 57, oprócz odezwy do dzieci na zakończenie, i spisu rozdziałów.

Mownictwo Polskie z zastosowaniami we wszystkich swych częściach, obejmujące: Rozbiór ogólny i szczegółowy, Słoworodnią, Składnią i Pisownią ze stu czterdziestu czterema ćwiczeniami ustnemi i piśmiennemi, dla użytku młodzieży przez **Piotra Skrzypińskiego**, nauczyciela gimnazyjum drugiego w Warszawie. Warszawa 1873 r. in 8 maj. str. 256, oprócz listy prenumeratorów. Dzieło dedykowane przez autora jego towarzyszom, przyjaciołom i uczniom. Na czele przedmowy położone godło: *Feci, quod potui, faciant meliora potentes.*

Gdyby ktoś zapotrzebował bądź dla siebie, bądź dla swoich dzieci dobrej grammatyki polskiej w niemałym byłby kłopocie, nie dla tego, aby nam zbywać na niej miało, ale że wybór tu strasznie trudny: jedna za mądra, za historyczna, jedynie dla filologów z powołania mająca swoje zalety; druga znów tyle wprowadza porównawczych nowości, tak przepełniona polemicznemi ustępami, że ani myśl brać jej do nauki; trzecia zaś za stara, nic nie wie o narzeczach słowiańskich i dawnych prawideł trzyma się zębami i nogami. Oprócz kilku niedołężnych początków grammatyki jest jeszcze parę niezłych, do których zaliczamy prace Kudasiewicza i Czajkowskiego, ale te czy się wyczerpały, czy skryły gdzie, dość że ich nie odszukasz.

A jeśli kiedy, to dziś potrzebujemy na gwałt dobrej grammatyki, już nie tylko dla młodzieży, ale dla samych piszących, dla autorów; nigdy bowiem nie nagromadziło się więcej punktów spornych, wątpliwości i niepodobnych do pojednania sprzeczności, jak w czasie obecnym. Taki stan rzeczy naturalnym jest wynikiem już-to ciągłego rozwoju, jakiemu podlega każdy język żyjący, już wpływów, jakie nań oddziaływają, już wreszcie lekkomyślności samych literatów.

Prassa nasza peryodyczna, istny pod tym względem chaos przedstawia, a chaos ten panuje nie tylko w zwrotach stylowych, wyrażeniach i wyrazach, ale nawet w ortografii, która przez długi czas pewną jednostajność zachowała, dzięki rozpowszechnionym i niejako za obowiązujące uważanym „Rozprawom i wnioskom o ortografii polskiej" ułożonym i wydanym w 1830 r. przez deputacyą b. Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Nadto ogół piszących, wyniosłszy ze szkół pierwsze zasady ojczystego języka, nie puszczał się tak zuchwale na popisy ze swoim nieuctwem, jak się to dziś dzieje; kto nie był pewnym swojej ortografii, nie brał pióra do ręki, a w najgorszym razie dawał swój rękopis do poprawienia świadomszemu. Teraz, to rzecz zbyteczna: piszesz, jak chcesz, jak ci się podoba, strzelasz bąki aż miło, te raz wydrukowane znajdują naśladowców, i to, zacobyś dostał burę od swojego dawnego nauczyciela, staje się na raz, czy uwierzycie temu szanowni czytelnicy, staje się nie mniej, nie więcej, jak *zwyczajem narodowym*. Tak, zwyczajem narodowym, gdyż takim argumentem zatykają ci usta, jeśli ośmielisz się powstać przeciw jakiemu dziwolągowi drukowanemu.

Młodzieniec zajęty pracą, dającą mu chleb powszedni, jeśliby zapragnął douczyć się swojskiego języka przez czytanie pism peryodycznych, jak to doradza mu autor „O samopomocy"; wpadłby naraz między Scyllę i Charybdę: jedne każą mu pisać tak, inne owak, albo też, co jeszcze dziwniejsza, jedno i to samo pismo poda mu kilka próbek ortografii i odmian grammatycznych; wybierajże między niemi, jeśliś mądry.

Pożądaną jest zatem każda grammatyka, prostująca błędy i rozpowszechniająca elementarne zasady naszej mowy.

Na dobie więc ukazały się w Warszawie roku zeszłego dwie, wymienione w nagłówku, grammatyki, o których parę słów powiedzieć chcemy, czy i o ile odpowiadają dzisiejszym wymaganiom.

Zaczynamy od Małej grammatyki polskiej, którą p. J. Maleczyńska obdarzyła, a przynajmniej obdarzyć chciała drobną dziatwę, właściwie zaś przyszła w pomoc owym licznym nauczycielkom naszym, które dla kawałka chleba zmuszone są uczyć tego, czego same dobrze nie umieją. Autorka rozłożyła swój „kurs pierwszy" na pytania i odpowiedzi, których niech się dzieci wyuczą na pamięć, choćby jak papugi, a będą już doskonale grammatykę znały. Mówiąc seryo, takie pytania i odpowiedzi dobre są, gdy nauczycielka ustnie rzecz wyłoży i objaśni ją, a potem przy powtórzeniu użyje katechetycznej metody. Zachodzi tu wszakże ta okoliczność, że każda nauczycielka powinna streszczać w odpowiedziach swój własny wykład. Ztąd owa mała grammatyka może być dobrą dla uczniów i uczennic p. Maleczyńskiej, ale niekoniecznie pożyteczną, dla innych dzieci; nauczycielki zaś, któreby posługiwać się chciały jej książką, ani domyślić się mogą, jakiego autora lub autorów trzymała się p. M. w ułożeniu swojej „Katechizmówki".

I my wprawdzie nie znamy wykładu pani M. ale domyślamy się trochę, zkąd i co zaczerpnęła do książki, nad którą pozwalamy sobie kilka uwag uczynić.

Na samym początku zadaje nauczycielka pytanie: (str. 1.): „Z czego się składa mowa ludzka? O. Mowa ludzka składa się ze zdań". Ale co to jest zdanie, o tem ani teraz, ani później nie dowiaduje się uczeń który też, Bóg wie, jakie utworzy sobie pojęcie o tem zdaniu.

Dalej, czemu nauczycielka nie każe sobie wymienić wszystkich głosek polskich „złożonych" i tych, którym „dodajemy kropki, kreseczki lub ogonki"? Niechżeby uczeń na pierwszej lekcyi chociaż abecadło dobrze poznał.

Na tej samej stronicy autorka pisze: „Spółgłoska mocna jestto (pisze się jest-to, albo jestto) litera, czyli głoska, która zawsze utrzymuje właściwe brzmienie etc. Określenie słabych i mocnych spółgłosek niedokładne, a stałoby się jaśniejsze, gdyby autorka dodała, że samogłoska mocna *przed* i *po* samogłosce utrzymuje swoje brzmienie, gdy słaba, następując po samogłosce brzmi jak odpowiednia jej mocna. Odwoływać się do „odmian grammatycznych", których dziecko nie zna jeszcze, jest wcale niepedagogicznie.

Str. 6. Jako przykłady rodzaju żeńskiego daje autorka dwa wyrazy, których ortografii nie umiemy sobie wytłomaczyć: *lilja i Galija.* Widocznie, co do pisowni pani M. nie zdecydowała się jeszcze, któremu systematowi dać pierwszeństwo, w każdym razie pisać *lilja* jest najgorzej, jak nas uczy Małecki w rozprawie swojej o spółgłosce j.

Str. 7. *Siemie, ciemie* (dawne siemienie, ciemienie) pisać przez e zamiast ę na końcu mogą tylko ludzie

nie zastanawiający się, lub nie znający grammatyki: naśladować więc takiej pisowni nie należy, bo tu pierwiastek jest siemien, ciemien, widoczny w 2 p. l. p., a *en* tylko na ę nie na e ściągać się może.

Ten sam błąd popełnia autorka na str. 10, dając do odmiany *ramie* które w 5 p. 1. p. zamienia się na ramię. Czy-to błąd drukarski, czy zasada autorki?

Co do uwagi 1-szej zamieszczonej na tejże stronicy pod odmianami rzeczowników, nie mamy p. M. za złe, że tak gładko załatwiła się z przyp. 4 l. p. rzeczowników rodzaju żeńskiego, zakończonych na *ni* i *ja* (?), kończąc go albo na ę albo na ą, bo rzeczywiście nasi grammatycy nie mogą się w tym punkcie zgodzić, a literaci piszą tak, jak im dogodniej, albo raczej jak tego wymaga harmonia przyległych wyrazów. Nie mamy również nic do nadmienienia, że *ami* (6. p. l. m.) skraca się na *y*, chociaż nie wszędzie, jak tego dowodzi przykład samej autorki: „Walczył ze strzałami, żołnierzy (?), orężami".

We wzorze odmiany przymiotników (str. 13) znajdujemy sprzeczności, które w książce dla dzieci miejsca mieć nie powinny. W 6 i 7 p. l. p. na pytanie *Jakim* w *jakim*, odpowiada przymiotnik *dobrem* w *dobrem*. W mnogiej liczbie znów w przypadku 6-ym na pytanie *jakiemi*: odpowiada przymiotnik *dobrymi*. Cóż—to za gmatwanina? Czy tak można pisać dla dzieci?

Jeśli autorce podobało się naśladować pomysły niektórych grammatyków naszych, znoszących różnicę rodzaju nijakiego od męzkiego przymiotników położonych w przypadku 6-ym tak pojedynczej, jak i mnogiej liczby, to niech będzie konsekwentą sama z sobą i wszędzie trzyma się jednej zasady, chociażby takowa nie doznała dotąd powszechnego przyjęcia.

Na str. 13 mówi autorka, że tylko właściwe przymiotniki odmieniają się przez stopnie, nie rzekłszy i słówka, co rozumieć należy przez *właściwe* przymiotniki.

Dalej, prawidło formowania stopnia wyższego podane fałszywie: „Stopień wyższy, czytamy w grammatyce p. M., powstaje z równego przez dodanie na końcu *szy-a-e*, albo *ejszy-a-e*", a więc od przymiotnika szlachetny, uformuje dziecko stopień wyższy *szlachetnyszy-a-e*, albo *szlachetnyejszy-a-e*, tak samo, jak każe mu autorka tworzyć stopień wyższy od przymiotnika zły-*złyszy-a-e*.

Nie lepiej-to było przepisać ze starej grammatyki Sierocińskiego, że dopiero po odrzuceniu końcówki przymiotnikowej *y* albo *i-a-e*, dodaje się *szy*, albo *ejszy* przyczem następuje zmiana tak samogłosek jak i spółgłosek, według stałych prawideł, o których uczniowie później się dowiedzą?

Przymiotniki nieforemne nie wszystkie wyliczone, dla czego nie zrobiono zastrzeżenia?

Gdzie autorka wyczytała, że liczebniki główne (wyjąwszy jeden, dwa, trzy, a niekiedy cztery) odmieniają się przez rodzaje? i po co to pisać, kiedy sama autorka innego jest przekonania?

Dla czego zaimek *osobowy* nazwany został *osobisym*? Że Małecki w swojej grammatyce użył niewłaściwie tej nazwy, to autorki nie usprawiedliwia.

Pomimo niedokładnej klassyfikacyi słowa, wzory konjugacyi są niezłe; pochwalamy zamieszczenie podwójnej formy czasu przyszłego, za to nie możemy się zgodzić na czas przeszły trybu warunkowego jako mało używany. Aby konjugacya była zupełną, zdałoby się dodać tryb rozkazujący z omówieniem, oraz sposoby wyrażania strony biernej słowa czynnego.

Nie możemy pominąć milczeniem niedokładności, co do imiesłowów, jakoby się nie odmieniały przez czasy. Na wzór łaciny nie mamy wprawdzie imiesłowu biernego czasu teraźniejszego i przeszłego czynnego, ale przyszły mamy, tak czynny jak bierny, wyrażający się przy pomocy słowa mieć, tak samo jak czas przyszły od słów niedokonanych posiłkuje się słowem być. Jeśli p. M. powie dzieciom, że nasze imiesłowy nie odmieniają się przez czasy, to jakże biedactwo się zdziwi, gdy posłyszy, że *np.* rossyjski język ma wszystkie trzy imiesłowy tak czynne jak bierne, a do tego w pełnem i uciętem zakończeniu; pomijamy język łaciński i grecki, w których czas imiesłowów tak często się u-wydatnia.

Wzór odmiany imiesłowów, oprócz fatalnego opuszczenia *i* we wszystkich 6-ych przyp. l. m., te same posiada wady i sprzeczności, co odmiana przymiotników; tu *np. dający* ma 6. p. l. p. na rodzaj nijaki *dającym*, a imiesłów *zwiędły* w tymże przypadku, rodzaju i liczbie *zwiędłem*.

Trudno nam odgadnąć, w jakim związku pozostaje dziwna odpowiedź o poznawaniu wykrzykników z uwagą o „pieszczotliwości, giętkości i rozmaitości odmian naszego języka".

Jeśli się nie mylimy, to z całej gramatyczki najlepiej się udały zamieszczone przy końcu przykłady, z których nauczą się dzieci używania spółgłosek i samogłosek. Kudasiewicz widocznie był tu dla autorki wzorem.

Rozszerzyliśmy się z umysłu nad grammatyką pani M. jako nad książką przeznaczoną dla dzieci, dla których początki każdej nauki o ile możności wolne być powinny od wszelkich usterek i niedokładności, mianowicie też w tak ważnej nauce, jaką jest nauka ojczystego języka.

Autorka zrobiłaby przysługę prawdziwą, jeśli nie dzieciom, to przynajmniej nauczycielkom, o których wspomnieliśmy, gdyby stylem swoim tak łatwym i obrazowym rozłożyła na pytania i odpowiedzi którą ze szkolnych grammatyk uznanej wartości, choćby nawet dawniejszych. Naturalnie, że tu unikać należy wszelkich punktów spornych, dzielących na dwa przeciwne obozy zwolenników zasad Małeckiego i ks. Malinowskiego.

Jeśli nie odpowiedziały swojemu celowi dobre chęci pani M., za to profesor Skrzypiński udarował nas książką wielce pożyteczną, wydając swoje „Mownictwo Polskie". Jest-to praca sumienna, owoc lat wielu, którym nie tylko starsi uczniowie, ale i dorosłe osoby wybornie posilić się mogą. Pan S. umiejętnie korzystał z nowszych badań nad naszym językiem i systematycznie powiązał wszystkie prawidła grammatyczne, o ile takowe uznał za zgodne z duchem naszego języka albo też ogólnie z przyjętym w kraju zwyczajem. Można się z autorem na wiele rzeczy nie zgadzać, można nie zatwierdzać jego terminologii często niewłaściwej, i tego do przesady posuniętego unikania cudzoziemskich wyrazów, a nadewszystko można mu zarzucić zbytnią obfitość podziałów i poddziałów, utrudniających naukę; ale przyznać mu trzeba, że układając swoją grammatykę, był w swoim żywiole, znał dokładnie przedmiot, o którym pisał, brał od obcych to, co wydawało mu się dobrem i zgodnem z jego poglądem. Szanowny profesor zajął się ze szczególniejszą troskliwością rozwikłaniem, wyjaśnieniem i uporządkowaniem naszej głosowni, a przez to samo ułatwił zrozumienie mniemanej nieprawidłowości wielu odmian grammatycznych, oraz wielu trudności ortograficznych.

Bardzo trafnie i pedagogicznie postąpił sobie autor, iż zachował końcówki 6-go p. l. p. i m. przymiotników położonych w rodzaju męzkim i nijakim, tak jak są dotąd używane przez ogół piszących, chociaż wyraźnie w przypisku oświadcza, że pomysły Przyborowskiego i Malinowskiego trafiają do jego przekonania.

Szkoda, że autor nie postąpił sobie z równą ogędnością, co do wyrazów cudzoziemskich zakończonych na *ya* i *ia* przedłużając je ze staroświecka na *yja* i *ija* chociaż prócz ludu prostego nikt ich tak nie wymawia. Nie narzucając prof. S. przekonań Małeckiego, który naturę spółgłoski *j* dostatecznie wyjaśnił, dodajemy z naszej strony, że każdy język w zwykłym swoim rozwoju postępuje od form dłuższych do skróconych, czyli ściągniętych, ale nigdy odwrotnie. Wymawiać więc i pisać: *historyja, subjekcyja i ceremonija* jest pewnego rodzaju archaizmem, którego unikają nawet ludzie którzy nie wiedzą, z jakich języków obce te wyrazy początek swój biorą.

Pomimo pierwszeństwa, danego końcowkom długim, którego wreszcie autor nie nadużył, bo w całej grammatyce spotykamy zaledwie kilka wyrazów cudzoziemskich i to tylko na przykład przytoczonych; „Mownictwo polskie" wiele przynieść może pożytku nie tylko uczniom, lecz niejednemu nauczycielowi, który w „Ćwiczeniach zastosowanych do mownictwa polskiego" znajdzie jeśli nie gotowy materyał, to przynajmniej wzory, jak przygotowywać dla uczniów zadania do poprawy i jakie zadawać im ćwiczenia do wypracowania.

Z takiej grammatyki, jak prof. S. korzystać może również każdy młody człowiek, który w szkołach albo wcale się nie uczył grammatyki polskiej, albo bardzo niedokładnie: tu bez pomocy nauczyciela, przez uważne tylko czytanie, wyuczyć się może nie tylko pisać ortograficznie, lecz i wyrażać się poprawnie a co większa poznawać przyczynę, dla czego tak, a nie inaczej mówić się powinno.

Śmiało więc i z ufnością „Mownictwo Polskie" mogą wziąć do ręki wszyscy ci, którzy o własnych siłach pragną wydoskonalić się w ojczystym języku.

J. Pracki.

WSPOMNIENIE

Z WYSTAWY WIEDEŃSKIEJ.

Wystawa Wiedeńska, jak każde wielkie dzieło budziła u jednych podziw i uwielbienie, a u drugich wywoływała ostrą krytykę. Jeżeli jednak niezadowolniła wielu to z pewnością gruppa 26 ogólne obudziła zajęcie, jako obejmująca dział szkół i wychowania publicznego.

Przedstawiony on był tak starannie, rozumnie, systematycznie i wyczerpująco, że nie tylko w kronice dziejów wystawy, ale nawet w kronice ogólnego postępu, zapisany z pewnością pozostanie na zawsze

Wszystkie narodowości miały tu szkoły swoje nawet i projekta zmian i ulepszeń, przedstawiając je pod sąd specyalistów.

Psychologija, pedagogika, hygiena, wołały o zmiany, rugując nie jeden zastarzały szkolny systemat nauczania, zaprowadzając zmiany w siedzeniu uczni, w oświetleniu, w odzieży itp. Sale szkolne, biblijoteki, pokoje sypialne, gabinety fizyczne i chemiczne, ogródki z gimnastyką, maleńkie warsztaty rzemieślnicze wszystko tu było zebrane.

Pierwszeństwo między wszystkiemi narodami należy się szkołom amerykańskim; słusznie też napisano o nich najwięcej i mówiono najgłośniej.

O rozumnej energii Yankesów wiemy już od dawna: wiemy i o tem, że nie brak im pieniędzy, tego potężnego motora, dla nauki i wiedzy. Amerykanie opóźnione narodziny ludów swoich, chcą nagrodzić gorącym przy pracy pośpiechem i troskliwem staraniem w pielęgnowaniu tak późno posianego ziarna, a że ziarno zdrowe i rolnik rozumny, więc plon bujny i piękny, piękniejszy niż u dumnych przeszłością swoją przedstawicieli europejskiej kultury.

Po szkołach amerykańskich, jedni austryjackiem, drudzy szwajcarskiem nadają pierwszeństwo. Jabym szwajcarskim przyznała więcej zasługi. Jak Szwajcarowie ciężko walczyli zanim zostali tem czem są dzisiaj, to wiemy wszyscy z dziejów.

Dziś urocza ojczyzna Tella, każdego z synów swoich bez wyjątku, kształci na dobrego obywatela i rozumnego człowieka. Cudzoziemiec, za pierwszem rozejrzeniem się po tym ślicznym kraju, dojrzy zaraz szczególny nacisk, jaki Szwajcarowie kładą na kształcenie swych dzieci.

Że więc i dom szwajcarski, w którym się mieściła szkoła ze wszystkiemi jej przyborami, nosił na sobie cechę tej staranności, nie dziwnego.

Ale i kraina nie reklamująca postępu swego prawie nigdy szumnemi ogłoszeniami, zagospodarowana, cicha spokojna mimo gwaru i krwawych walk w Europie, uboga płodami ziemi, oddzielona morzem, pokryta lodem i śniegiem, wprawiła wszystkich zastanawiających się głębiej i uważniej nad ogólnemi dziejami ludzkości, w zadziwienie niezmierne.

Ta kraina, to Szwecya.

Izba szkolna Szwecka jest najpiękniejszym pomnikiem dla narodu swego.

Wielka, wysoka sala narożna, oświetlona dużemi oknami, zastawioną jest stołeczkami podobnemi do używanych w szkołach amerykańskich. Są to jak gdyby małe foteliki drewniane, politurowane, z szerokiem z tyłu oparciem i z podnóżkiem. Przed każdym takim stołeczkiem stoi stoliczek z szufladką, a wszystko osadzone na podstawie i dla każdego ucznia osobno. O korzyściach dla zdrowia i dla rozwoju jego fizycznego pisać chyba zbyteczne. Dziecko siedzące wygodnie, słucha lekcyi chętniej i uważniej.

Stołeczki te stoją ustawione szeregami, ale w równych od siebie odstępach, żeby nauczyciel miał swobodę chodzenia pomiędzy uczniami, co jest przy niektórych wykładach dla mniej zdolnych uczni z niezmierną korzyścią.

Katedra i stół nauczyciela stoją na znacznem wzniesieniu; obok niego leży mały aparacik z kształtu trudny do odgadnienia ku czemu służy. Dowiadujemy się, iż mieści się w nim dystylowana smoła, służąca do oczyszczania powietrza. Przytem stoją jeszcze różne narzędzia do fizycznych i chemicznych doświadczeń, na ścianach wiszą mappy bardzo dokładne i szczegółowe, a przed niemi stoi niby tablica, wielka karta geograficzna z miękkiego drzewa, pomalowana na czarno. z narysowanemi tylko granicami kraju, zresztą pusta. U spodu znajduje się szufladka, w której na maleńkich podługowatych drewienkach opatrzonych u spodu sztyfcikami, są wypisane nazwiska wszystkich znaczniejszych miejscowości. Uczeń zapytany gdzie jest np. Sztokholm lub Upsala, drewienko z tą nazwą wsadza we właściwe miejsce, musi więc koniecznie znać i rozumieć zadaną lekcyę.

Wiszą jeszcze trzy inne tablice: do rachunków, pisania i śpiewu; pod tę ostatnią instrument zowiący się psalmodikonem o jednej strunie do podawania tonu. Oprócz tego różne jeszcze ułatwiające i pomocnicze środki, do uczenia historyi naturalnej, matematyki i geometryi.

(d. c. n.)

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

(Dalszy ciąg.)

W *Satyrach prozą* Szczedrin trafnie i dowcipnie opisuje małostki i codzienne wydarzenia życia prowincyonalnego, w którem dobroczynność i trywialność tak wielką odgrywają rolę. Do najlepszych satyr w tym zbiorze zaliczyć trzeba te, w których autor opisuje kłopoty właścicieli i dzierżawców, z powodu wyswobodzenia włościan, bajaźliwość urzędników zastarzałych przekonań, obawiających się złych następstw z powodu zaprowadzenia sądów publicznych, oraz niezadowolnienie antreprenerów wywołane zniesieniem wydzierżawiania dochodów z wódki.

W jednym z najlepszych romansów swoich *Tysiąc dusz* (1858) Pisemski wykazuje z werwą brak poczucia indywidualności i jawności, lenistwo ducha, wszechstronną nieudolność, słowem wszelkie symptomata niemocy, charakteryzującej wówczas ruskie społeczeństwo. niemocy paraliżującej swobodne działanie inteligencyi, zmuszającej charaktery energiczne, wyższe nad ogólny poziom, na cierpienie i wegetowanie w ciężkiej atmosferze rutynicznych nałogów. Główną wadą tej społeczności była płochość, brak naturalności, fałsz, oraz patryarchalna jednostajność pojęć i stosunków wzajemnych, z których wypływał indyferentyzm i arbitralność. Wady te wpływały bardzo silnie na przekonania i obyczaje owej warstwy społecznej, z której Pisemski czerpał swoje natchnienia.

W latach 1856 i 1857, w których szczególniej ubiegano się za satyrami, oderwane opowiadania Andrzeja Peszczelskiego, a szczególniej *Nora niedźwiedzia* i *Dawne lata* wielką cieszyły się popularnością. Autor wybierał najwybitniejsze i najcharakterystyczniejsze ówczesne fakta i krytykował je z wielką werwą, co żywe budziło zajęcie.

Pomiędzy lirykami pierwsze miejsce zajmuje Nekrassow, on to lirę rossyjską nową wzbogacił struną, struną realizmu w poezyi, z której wyprowadził pełne i silne, zupełnie przedtem nieznane dźwięki. Wypowiada z całą szczerością że „w nieszczęść godzinie wstyd jest opiewać piękność dolin, morza, niebios, oraz pieszczoty uwielbianej kobiety”.

To też nie tam szukał tematów do natchnień swoich. jednak mimo to ilekroć unosi go nieprzeparte uniesienie, uwidocznia się nieokreślone uwielbienie jego dla kobiety i przyrody, a szczególniej w poezyach: „*Gdy w nocy ciemną idę ulicą*”— „*W odległej i dzikiej prawie wiosce*” — i w obszerniejszym poemacie „*Sasza,*” w których w jednym wierszu umie powiedzieć więcej, niż nie jeden w całej elegii.

Współczucie poety dla cierpiących i nieszczęśliwych objawia się wymownie w wierszach „*Poeta i obywatel.*” *W szpitalu. Nieszczęśliwy. Uroczystość młodzieńcza. Biedna kobieta i Elegantka.. Pieśń dla Yeremuszki. Łzy dziecinne. Na wsi. Muza.* Gorąca miłość dla najniższych warstw społecznych, zapał i żywe uczucie, dar przenikania i doskonałego opisywania tajników przyrody, oto główne zalety poezyi Nekrassowa.

I w piśmiennictwie dramatycznem pojawiły się nie bez wartości utwory satyryczne, jak *Zyskowna posada* (1858) komedya Ostrowskiego— i *Błyskotki* Potemkina. (1858).

W Zyskownej posadzie młody Jadow, siostrzeniec bogatego dygnitarza, utracił poparcie i pomoc wuja z powodu swoich liberalnych pojęć. Żeni się z Natalija, dobrą sobie i ładną dziewczyną, ale ubogą i mało ukształconą, nakoniec zmęczony niedostatkiem, znudzony wymówkami żony, upokarza się przed wujem i prosi aby mu wyrobił *zyskowną posadę*. Główną zaletą tej komedji jest wierne oddanie życia rodzinnego i wpływ jego na charakter i usposobienie człowieka. Wybitną cechą talentu Ostrowskiego jest głęboka znajomość duszy i znakomity dar wykrycia i przedstawienia ludzkiej strony każdej ednostki, po za granicami stanowiska, jakie zajmuje w świecie.

Bohaterem komedyi Potemkina „*Błyskotki*” jest niejaki Pustożerow, urzędnik prowincyonalny, bajecznie bezinteresowny, pogardzający każdym nie mogącym się tą cnotą pochlubić, choćby zresztą największe zdobiły go przymioty. Ta idea przeważa wybitnie w całym ciągu sztuki. Lecz zamiast przedstawić go widzom jako wzór do naśladowania, Potemkin przeciwnie budzi w nich dla niego wstręt niewysłowiony: do tego właśnie dążył i nie chybił celu. Główną wadą tej sztuki jest to, że właściwie nie jest komedyą, ale raczej jakąś maszyną. której sprężyny autor porusza według upodobania, odnośnie do tego jaką stronę charakteru bohatera wykazać pragnie. Każda scena oddzielnie wzięta jest dobrze napisana, ale całość słaba.

Charakter Pustożerowa jest zupełnie nienaturalny: autor za wiele nikczemności i zbrodni nagromadził w jednej osobie; taka żądza wzbogacenia się nie zgadza się ani z postępowaniem ani z bezinteresownością bohatera. To też mimo swoich artystycznych zalet, komedya nie cieszyła się zbyt wielkiem powodzeniem.

(d. c. n.)

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorce Marzeń panny XIX wieku i innych wierszyków, donosimy z wielkim żalem, że drukować ich nie możemy.

W poezyi oprócz formy nadobnej, koniecznym jest polot myśli prawdziwie poetycznej i unikanie zbyt zużytych i zwyczajnych porównań i wysłowień.

Pani W. W. w Podlesiu. Komedyjki Przyjaciel Dzieci pomieszcza i redakcya ma zamiar wydać je oddzielnie.—Zgadzamy się zupełnie, iż Zorza chybia celu swego, dla czego jednak nie stara się o nowe siły i poprzestaje na tych jakie posiada, raczy Pani odnieść się do p. Goltza radcy Tow. Kredyt. który głównie redakcyą pisma tego zajmuje się. Mieszka przy ulicy Mazowieckiej pod Nr. 8.

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Opis do N. 14.

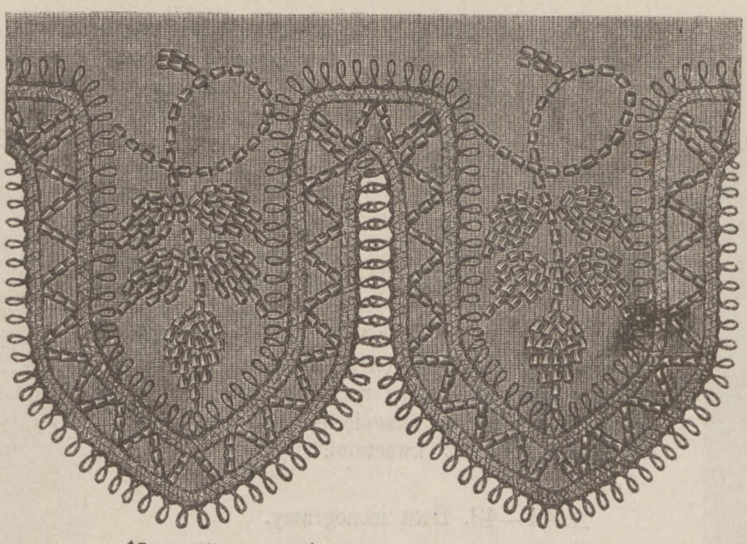
(Dokończenie)



N. 1. Chusteczka haftowana atłaskiem. Patrz ryc. 10 w N. 15.

N. 33—35. Dwa ozdobne prześcieradła.

Wielkość monogramu wyhaftowanego na prześcieradle, przedstawia ryc. 34, na ryc. 33 odrobiony jest tenże monogram z dodaniem po bokach dwóch gustownych bukiecików. Na poszewce wielkość monogramu powinna być troszkę zmniejszona, a bukieciki dają się w czterech rogach. Prześcieradło załączone na ryc. 35 wyhaftowane jest w odstępie 20 cent. po nad obrębem 7 i pół cent. wysokim; deseń haftu znajdą czytelniczki w dodatku do N. 11 i 12. Litery w monogramie liczą po 22 cent. wysokości.



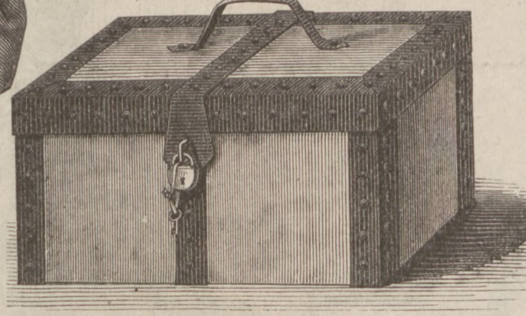
N. 3. Wyszycie do vêtement, chustek i t. p.



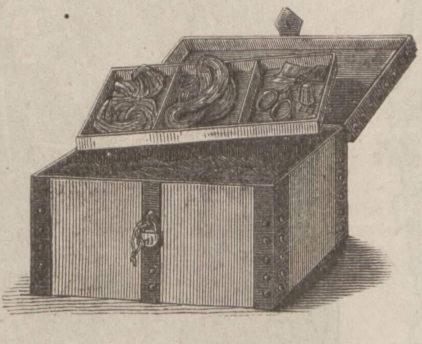
N. 8. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną.



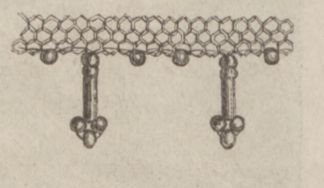
N. 4. Vêtement dla dziewczynki od lat 7—10 Krój w dodatku N. IV. Fig. 19—22. Patrz ryc. 5.



Kuferek do robót Zamknięty.



Kuferek do robót. Otwarty.



N. 9. Oszycie z perełek dżetowych do kapelusza ryc. 24 w N-rze 15.



N. 6. Suknia z tuniką z przodu i szarfą boczną.

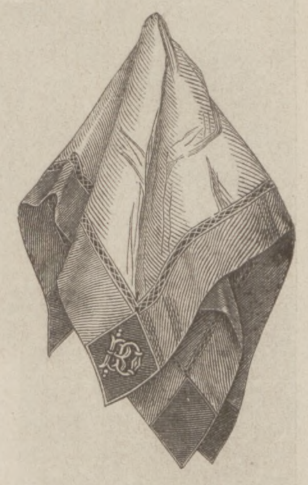


N 10. Gałązka koralowa robiona z dżetu.

N. 36—38. Poszewki ozdobione haftem.

Na ryc. 38 mamy podany w naturalnej wielkości deseń haftu, odrobionego na poszewce ryc. 36 i na prześcieradle ryc. 35.

Poszewka ta liczy w kwadrat 78 cent. haft zaś dany na 3 cent. od brzegów. Ryc. 37 wskazuje sposób zapinania poduszki, podług którego w poszewce dają się tylko dziurki, zapinki zaś lub guziki są na osobnym pasku. Dla umniejszenia roboty w miejsce monogramu, jaki by potrzeba haftować na wierzchu poszewki, już ozdobionej szlakiem, daje się mniejsze cyfry od spodu poszewki po nad obrębem.



N. 2. Chusteczka z dodanym kolorowym obrębem z fularu.



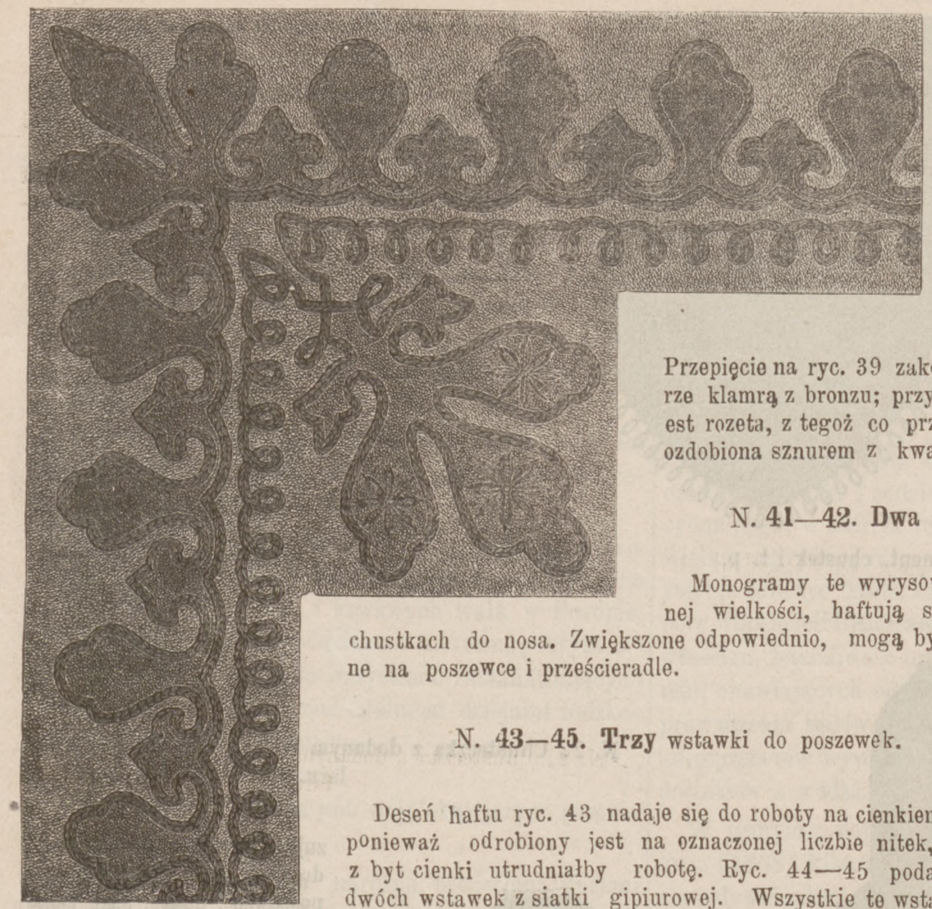
N. 5. Vêtement dla dziewczynki od lat 7—10. Plecy do ryc. 14.

N. 39—40. Dwa przepięcia do firanek, kotar, ub do firanek przy toalecie.

Przepięcie ryc. 39 odpowiednie jest do firanek przedstawionych na ryc. 11, gdyż na tle gład-



N. 7. Suknia z tuniką i stanikiem z baskiną. Patrz r. 16



N. 11. Narożnik do poduszki, serwet i tek. Haft kolorami.

kiem ma aplikowane gałązki odpowiadające do deseniu. Brzegi przepięcia otacza gruby sznur, u dołu zaś zęby oszyte są frendzlą z kulek. Rycina 40 podaje gustowne przeepięcie złożone z riuszy, falbanki i fałd naszytych skośnie, ozdobionych szlaczkami. Przepięcie na ryc. 39 zakończone jest w górze klamrą z bronzu; przy ryc. 40 dodana est rozeta, z tegoż co przepięcie materjału, ozdobiona sznurem z kwastami.

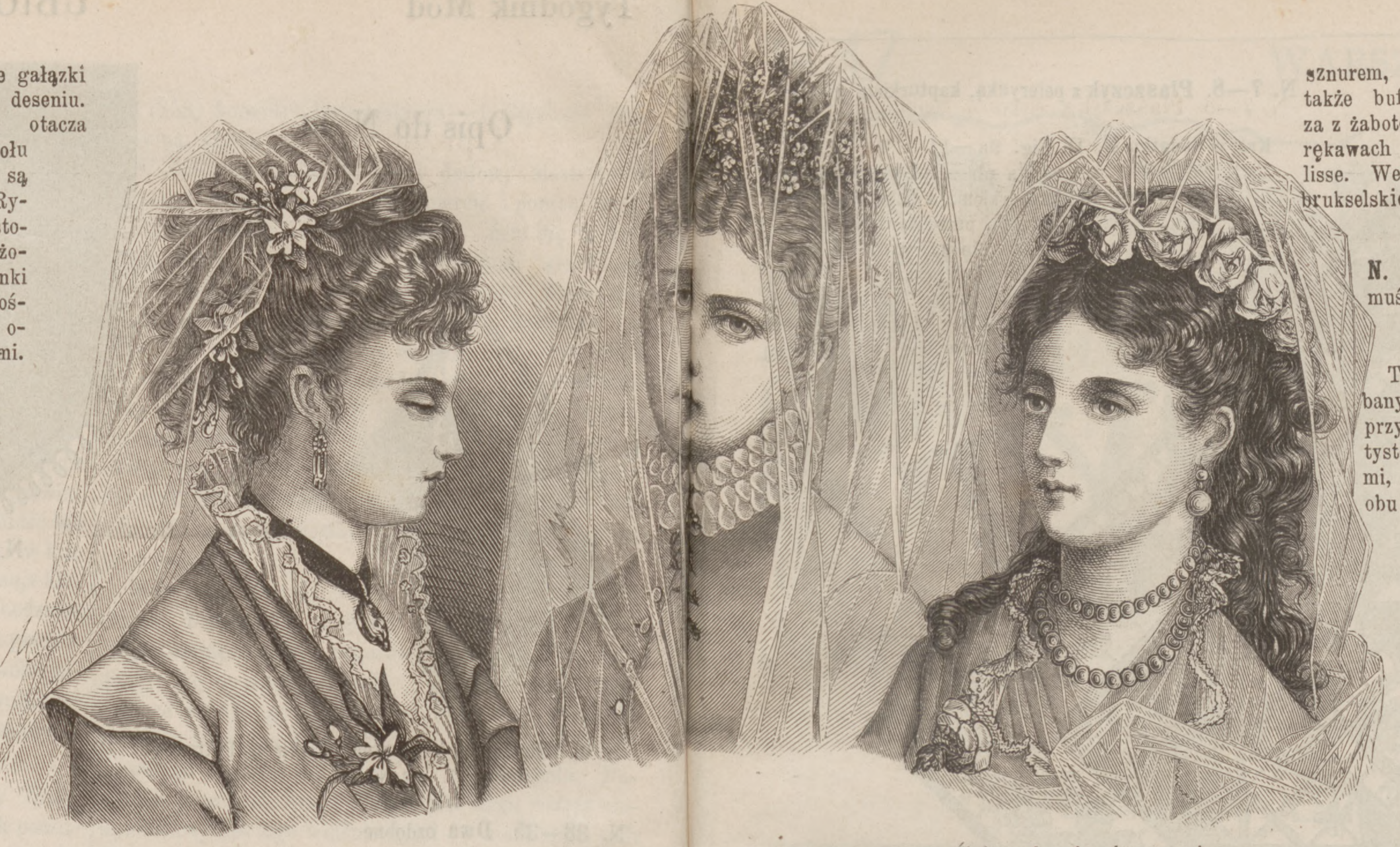
N. 41—42. Dwa monogramy.

Monogramy te wyrysowane w naturalnej wielkości, haftują się atłaskiem na chustkach do nosa. Zwiększone odpowiednio, mogą być znaczone na poszewce i prześcieradle.

N. 43—45. Trzy wstawki do poszewek.

Deseń haftu ryc. 43 nadaje się do roboty na cienkiem płótnie, ponieważ odrobiony jest na oznaczonej liczbie nitek, materjał z byt cienki utrudniałby robotę. Ryc. 44—45 podają wzory dwóch wstawek z siatki gipiurowej. Wszystkie te wstawki pięknie się przedstawiają, gdy przez nie przebija kolorowa powłoczka.

N. 46. Haft do serwety ryc. 19.



N. 14. Ślubne ubranie głowy z kwiatamipomarańczy.

N. 13 Wianeczek mirtowy i welon, zarzucony na twarz.

N. 15. Ślubne ubranie głowy z wianeczkiem różannym.

sznurem, który przedziela także bufy rękawów. Kreza z żabotem i falbanki przy rękawach są z białej crêpe lisse. Welon z klarownego, brukselskiego tiulu.

N. 2. Suknia biała muślinowa z falbanami.

Trzy plisowane falbany dane na sukni, przytwierdzone są batystowemi pliseczkami, stębnowanemi z obu brzegów. Gładka bluzka w miejsce stanika, przez którą przegląda ozdobiony wstawkami, staniczek wycięty, przepięta jest w pasie szarfą z białej rypsowej wstążki.

Na głowie rodzaj czepeczka muślinowego, z tiulowym welonem.

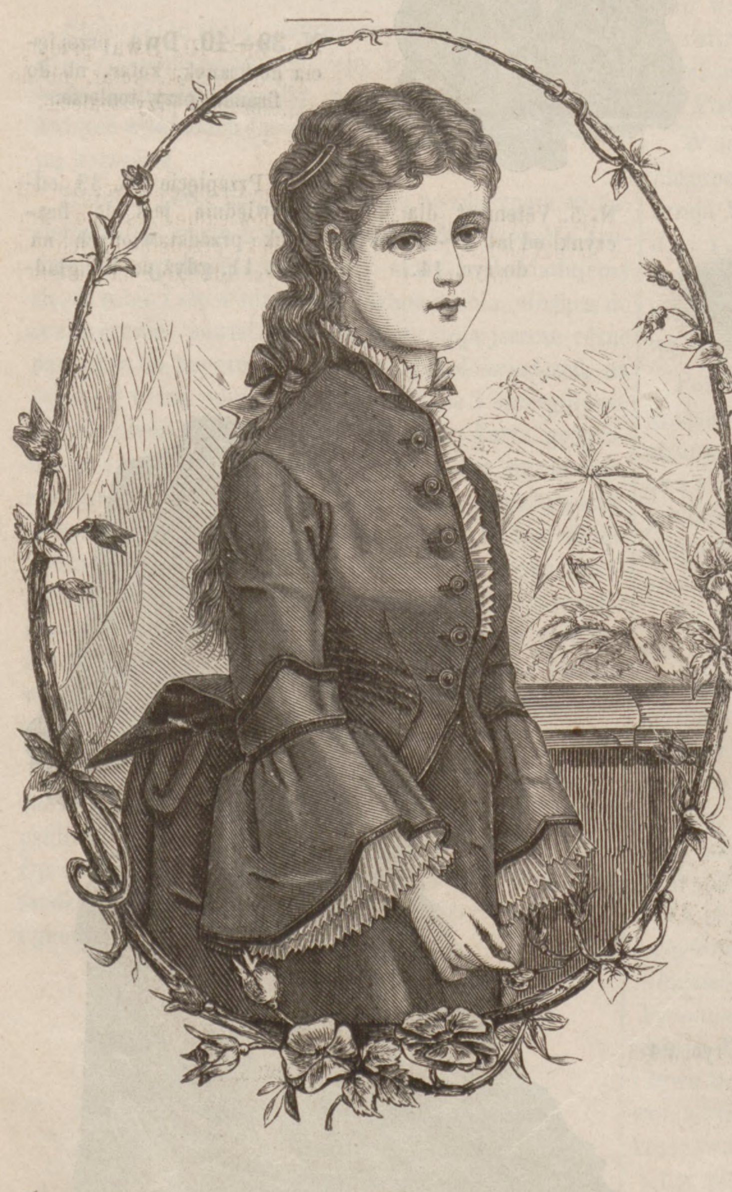
N. 3. Ubranie spacerowe.

Suknia z ciemno oliwkowego kaszmiru, przybrana jedwabnemi plisami jaśniejszego cieniu. Na spódnicy z przodu tylko, dana marszczona falbana w środku 40, w końcach 50 cent. szeroka. Z falbany tej oddzielona jest bufa, przyszyta dwiema plisami, które na bokach kończą się pod skośnemi kwadratami, przytwierdzonemi dwoma guzikami. Vêtement z baskiną i szeroko puszczonemi zwierzchniemi rękawami, oszyte jest szeroką plisą jedwabną i ma dodane chusteczkowe przybranie, zakończone wypustką ze sznurem. Wielkie kwadraty naszyte na baskinie przytwierdzone guzikami.



N. 12. Narożnik do poduszki, serwety i t. p.

Opis do N. 15.



N. 16. Ubranie dla młodej panienki. Przód do ryc. 17 Krój w dodatku N. III. Fig. 12—18.



N. 18. Suknia z tiuniką powłóczystą. N. 19. Ślubne ubranie z jedwabnego rypsu. N. 20. Suknia przybrana kwiatami. N. 21. Ubranie dla dzieweczynki od 7—10 lat. N. 22. Suknia z wyciętym stanikiem z baskiną. N. 23 Suknia z chusteczką. N. 24. Suknia z tiuniką z przodu.



N. 17. Ubranie dla młodej panienki. Plecy do ryc. 16. Krój w dodatku N. III. Fig. 12—18.

N. 1—2. Dwa ubrania do pierwszej komunji.

N. 1. Suknia z gładką spódnicą.

Biała alpaga lub kaszmir stanowią odpowiedni materjał na suknię gładką powłóczystą, ze stanikiem z baskiną i rękawami w bufy.—Brzegi spódnicy i baskiny podszytej białą materją, oszyte są grubym jedwabnym

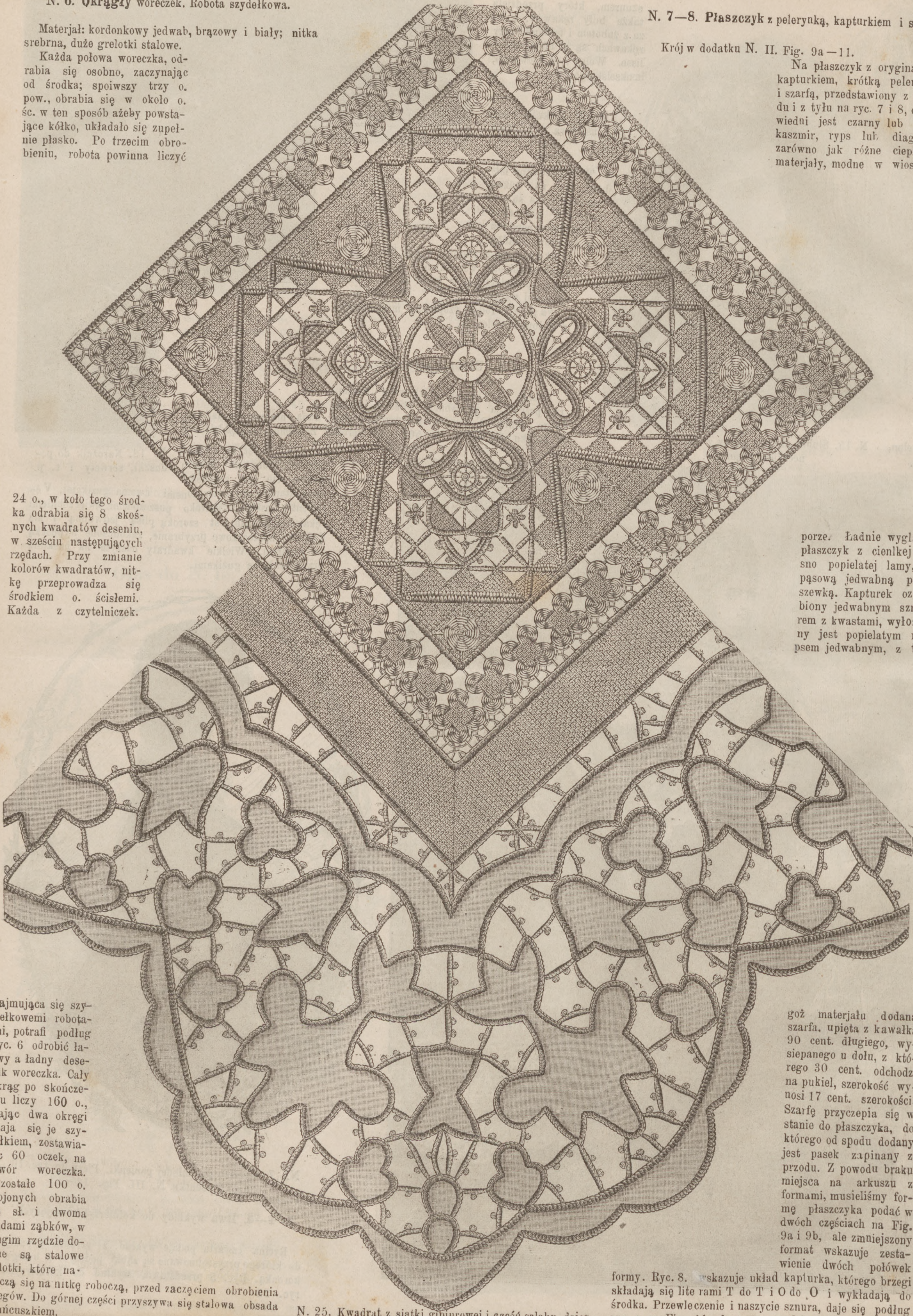
N. 4—5. Dwa wykłady do kołnierzyków stojących.

Rycina czwarta podaje wykład z perkalu w paski do którego przystębnowane są ząbki podszyte z brzegu koronką. Ryc. 5 przedstawia wykład do kołnierzyka ryc. 22.

N. 6. Okrągły woreczek. Robota szydełkowa.

Materjał: kordonkowy jedwab, brązowy i biały; nitka srebrna, duże grelotki stalowe.

Każda połowa woreczka, odrabia się osobno, zaczynając od środka; spoiwszy trzy o. pow., obrabia się w około o. śc. w ten sposób ażeby powstające kółko, układało się zupełnie płasko. Po trzecim obrobieniu, robota powinna liczyć 24 o., w koło tego środka odrabia się 8 skośnych kwadratów deseniu, w sześciu następujących rzędach. Przy zmianie kolorów kwadratów, nitkę przeprowadza się środkiem o. ścisłemi. Każda z czytelniczek, zajmująca się szydełkowemi robotami, potrafi podług ryc. 6 odrobić łatwy a ładny deseník woreczka. Cały okrąg po skończeniu liczy 160 o., mając dwa okręgi spaja się je szydełkiem, zostawiając 60 oczek, na otwór woreczka. Pozostałe 100 o. spojonych obrabia się sł. i dwoma rzędami ząbków, w drugim rzędzie dodane są stalowe grelotki, które nawłóczą się na nitkę roboczą, przed zaczęciem obrobienia brzegów. Do górnej części przyszywa się stalowa obsada z łańcuszkiem.



N. 25. Kwadrat z siatki gipiurowej i część szlaku dzierganego. Do ryc. 11 w N. 15. Wielkość naturalna.

N. 7—8. Płaszczyk z pelerynką, kapturkiem i szarfą.

Krój w dodatku N. II. Fig. 9a—11.

Na płaszczyk z oryginalnym kapturkiem, krótką pelerynką i szarfą, przedstawiony z przodu i z tyłu na ryc. 7 i 8, odpowiedni jest czarny lub biały kaszmir, ryps lub diagonal, zarówno jak różne cieplejsze materjały, modne w wiosennej porze. Ładnie wygląda płaszczyk z cienkiej jasno popielatej lamy, z pąsową jedwabną podszewką. Kapturek ozdobiony jedwabnym sznurem z kwastami, wyłożony jest popielatym rypsem jedwabnym, z tegoż materjału dodana szarfa, upięta z kawałka 90 cent. długiego, wysiepanego u dołu, z którego 30 cent. odchodzi na pukiel, szerokość wynosi 17 cent. szerokości. Szarfę przyczepia się w stanie do płaszczyka, do którego od spodu dodany jest pasek zapinany z przodu. Z powodu braku miejsca na arkuszu z formami, musieliśmy formę płaszczyka podać w dwóch częściach na Fig. 9a i 9b, ale zmniejszony format wskazuje zestawienie dwóch połówek formy. Ryc. 8. wskazuje układ kapturka, którego brzegi składają się literami T do T i O do O i wykładają do środka. Przewleczenie i naszycie sznura, daje się podług ryc. a na Fig. 11 odznaczone są dziurki do przewleczenia.

(Dalszy ciąg w dodatku.)